



PREZYDENT DE GAULLE:

„Wasza wizyta nadaje blasku współpracy, która rodzi się między naszymi państwami dla dobra obywateli narodów — równocześnie dla dobra postępu, równowagi i pokoju świata”.

PREMIER KOSYGIN:

„Kierując się interesem narodowym nasze kraje kroczą wspólnie, i każdy z nich samodzielnie, drogą współpracy dla dobra bezpieczeństwa narodów — radzieckiego i francuskiego, wzmocnienia bezpieczeństwa Europy i świata”.

Dwa te cytaty z przemówień powitalnych na paryskim lotnisku Orly są jakby mottem wizyty radzieckich gości we Francji. Komentatorzy wykazują najwyższe zainteresowanie paryskimi rozmowami, przewidując w ich następstwie istotny krok w zbliżeniu francusko-radzieckim. Niektórzy już po trzecim dniu wizyty skłonni byli twierdzić, że pozytywnie poważnie postępy w sprawie Europy „Combat” np. nazywa te rozmowy „wielką konfrontacją europejską”.

Oczywiście, nie wszyscy z tego powodu się cieszą. Dla nastrojów w Stanach Zjednoczonych i Niemczech zachodnich charakterystyczne są wypowiedzi „Chicago Daily News” oraz „Handelsblatt”. W pierwszym z wymienionych pism czytamy: „Jest niemal coś szalonego w sposobie, w jaki Francja kokietuje w ciągu ostatnich miesięcy Rosję i komunistyczną Europę wschodnią”, w drugim natomiast: „Moskwa nie może nie brać pod uwagę wzrastającej izolacji dyplomacji francuskiej w ramach atlantyckich, która stanowi przeciwwagę i zmniejsza znaczenie de Gaulle’a”.

Nietrudno zauważyć, że pierwsza wypowiedź wyraża NIEPOKOJ, a druga próbuje USPOKOIC zachodniopółnocniemiecką opinię publiczną. Szczególnie denerwujące dla Bonn są spotkania sam na sam Kosygina i de Gaulle’a. Otoczone ścisłą tajemnicą rodzajem domysły co do tematyki rozmów i stopnia wzajemnych ustaleń. Wyjaśni je końcowy komunikat, a tymczasem poświęćmy trochę uwagi powstaniu w NRF rządu koalicyjnego.

Wypadki potoczyły się, jak Czytelnicy wiedzą, raczej w kierunku nieoczekiwanym na progu kryzysu. Wtedy nie wydawało się możliwe, aby zarysowały się podstawy współpracy CDU/CSU i SPD. Stało się to jednak faktem, powstał rząd z Kiesingerem na czele i przy udziale socjaldemokratów. CDU ma w nim 107 mandatów, CSU 3, SPD — 107 mandatów, 7 mandatów ministerialnych, 3 mandatów SPD — urząd wicekanclerza, połączony personal-

nie (Willy Brandt) ze stanowiskiem ministra spraw zagranicznych oraz 8 innych ministerstw.

W nowym rządzie znaleźli się obok siebie trzy ludzie: Kiesinger ze swą hitlerowską przeszłością, Brandt — emigrant w latach wojny i Strauss aż nadto znany z minionych lat, by tutaj o tym przypominać. Ci trzej ludzie — co więcej — reprezentują różne koncepcje polityczne, tak różne, że nie można uniknąć pytania: co dalej?

„Combat” nazywa „wielką koalicję” — „małżeństwem, zawartym wbrew naturze”, co z reguły nie wytrzymuje próby czasu.

Powstało ono — przypomina dziennik — na gruncie „arytmetyki politycznej, a nie na gruncie wspólnego programu”.

Jak ten „koalicyjny mechanizm” będzie działał w praktyce — trudno sobie wyobrazić. Stają przeciw przed nowym rządem tak zasadnicze kwestie, jak: konieczność określenia nowego systemu bezpieczeństwa, ułożenie stosunków z Europejską Wspólnotą Gospodarczą, potrzeba przywrócenia równowagi między Stanami Zjednoczonymi i Francją, wyjście z kryzysu finansowego, który stał się bezpośrednią, choć — jak już pisałem — nie najważniejszą przyczyną upadku gabinetu Erharda, no i ewentualnie zapoczątkowanie nowej polityki wschodniej.

Niemal w każdej z wymienionych dziedzin poglądy socjaldemokratów różniły się od poglądów CDU/CSU. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” uważa, że „sprawność i trwałość nowego rządu zależą od tego, jak daleko mierze od zgrania się kanclerza Kiesingera i jego zastępcy Brandta, z których każdy jest bardzo drażliwy i uczulony na punkcie własnej wartości”. Dziennik upatruje więc możliwości współdziałania od „dotarcia się” cech osobistych, jak gdyby celowo odwracając uwagę od spraw znacznie bardziej zasadniczych, wystawiających na wielką próbę nie tyle CDU, co SPD.

Interesujące jest także, jaką rolę spełniać będzie 49-mandatowa FPD — owąka opozycja oraz jaka będzie siła działania wewnętrznej opozycji w każdej z tworzących koalicję partii. Wiadomo bowiem, że ponad 50 deputowanych SPD głosowało przeciwko nowemu rządowi, a Schroeder skupia wokół siebie niezadowolonych w CDU.

Z innych wydarzeń odnotujemy wybór przez Zgromadzenie Ogólne U Thanta sekretarzem generalnym ONZ na okres do 31 grudnia 1971 roku.

Fakt ten zastępuje na podkreślenie nie tylko dlatego, że pozwala uniknąć poważnego kryzysu w organizacji, lecz także dlatego, że może być pewnym dobrym prognostykiem co do perspektyw konfliktu wietnamskiego. Jak Czytelnicy zapewne pamiętają, we wrześniu ogłaszając swą decyzję, iż nie zamierza ponownie kandydować, U Thant uzasadniał ją przede wszystkim niemożnością znalezienia rozwiązania niespoźnionego konfliktu. Czyżby więc obecna zmiana stanowiska oznaczała, że możliwość takiej dostrzeż? I to pytanie na razie pozostać musi bez odpowiedzi. W. SŁAWSKI

Technika TYGODNIA

■ Nawiązując do niedawnej zapowiedzi prezydenta Johnsona, że wydatki federalne na cele wewnętrzne zmniejszone zostaną o 3 mld dolarów, przywódca murzyński dr King określił tę zapowiedź, jako „otwarte zaproszenie do zamieszek rozpaczy i rozczarowania”. Jeśli kraj nasz może sobie pozwolić na wydawanie 24 mld dolarów rocznie na wojnę w Wietnamie i 20 mld na wyślanie czołwieka na Księżyc, to może również wydać kilka miliardów, aby stworzenia ludzkie mogły żyć”.

■ „Krasnaja Zwiezda” o międzynarodowym aspekcie „rewolucji kulturalnej” w Chinach: „Ostatnio hunweibinowie kierowani przez doświadczonych dyrygentów coraz częściej mówią o konieczności przebudowy całego świata przy pomocy „myśli Mao Tse-tunga”. Oświadczają oni, że „trzeba przygotować się do prowadzenia trzeciej wojny światowej” i że „rewolucja kulturalna jest wielkim treningiem wojskowym”. Dla realizacji tych planów w Chińskiej Republice Ludowej

■ Prasa francuska o wizycie premiera ZSRR A. Kosygina w Paryżu: „Combat”: „Rozmowy paryskie są wielką konfrontacją europejską”. Pismo podkreśla, że w tym kontekście prawie „nie ma Ameryki”, silnie jest zwrócona uwaga na fakt, że „Europa mogłaby jutro wywierać w sprawach światowych wpływ równy, a nawet większy niż Stany Zjednoczone”. La Nation: „Już w czwartek w toastach generała de Gaulle’a i Kosygina na obiedzie w Pałacu Elizejskim jasno zdefiniowany został głęboki sens obecnych rozmów francusko-radzieckich: „Europa, której oba kraje chcą dać przykład porozumienia, a jutro swej współpracy, nie jest celem sama w sobie, lecz winna być pojmwana jako potężny czynnik równowagi międzynarodowej”.

■ „Woprosy ekonomiki” zamieściły publikację poświęconą strukturze dochodów radzieckiego chłopstwa kolchozowego, Pismo wskazuje, że niski poziom indywidualnych dochodów kolchoźników w minionych latach stał się przy

wym badaniu Księżycy i przez strzelenie kosmicznej.

■ W Pradze zakończyło się 3-dniowe międzynarodowe seminarium na temat obrony sądowej w społeczeństwie socjalistycznym. Czechosłowacki dziennik „Prace” zamieścił rozmowę na temat seminarium z generalnym sekretarzem Międzynarodowego Zrzeszenia Prawników Demokratów J. Nordmanem — znanym adwokatem paryskim. J. Nordman wyraził pogląd, że po zmianach wnie- sionych do ustawodawstwa czechosłowackiego w 1965 r. zwłaszcza po usankcjonowaniu uprawnień obrony sądowej — między innymi oskarżony może nie składać zeznań w przypadku nieobecności jego obrońcy — prawodawstwo CSRS można nazwać najbardziej demokratycznym w świecie.

■ Prezydent Johnson powołał specjalną komisję dla zbadania problemu powiększającego się zacofania technologicznego Europy zachodniej w stosunku do Stanów Zjednoczonych. Amerykańska przewaga w niektórych dziedzinach technologii — pisał Business Week — jest tak wielka, iż Europejczycy wątpią, czy zdołają nas kiedykolwiek dogonić. Zacofanie techniczne — dodaje pismo — może prowadzić do coraz większej zależności gospodarczej Europy zachodniej od Stanów Zjednoczonych.

■ Zachodniemiecki tygodnik „Deutsche Volkswirtschaft” o wrażeniach z podróży i licznych rozmów z obywatelami NRD: Mimo różnych trosk niemal we wszystkich rozmowach wyczuwało się mniej lub bardziej wyraźną dumę z dotychczasowych osiągnięć przynależności do tego państwa, którego istnienie nie chce się u nas przyjmować do wiadomości. Wyczuwało się świadomość przy należności do wspólnoty, która buduje sobie własnymi siłami zabezpieczoną przyszłość.

■ Rada Banków Rezerwy Federalnej podała do wiadomości, że zapasy złota w skarbie Stanów Zjednoczonych zmalały w październiku br. o dalsze 45 mln dolarów. Stan zapasów złota w skarbie USA osiągnął obecnie poziom najniższy od roku 1938.

■ W wywiadzie udzielonym pismu „Neues Deutschland” pierwszy sekretarz KC SED i przewodniczący Rady Państwa Walter Ulbricht, na pytanie dotyczące charakteru nowego rządu koalicyjnego w Bonn podkreślił, że jednym z najważniejszych jego zadań będzie wzmocnienie kontynuowania wojny psychologicznej przeciwko NRD „nowymi metodami i z jeszcze większą demagogią”.

■ Zdaniem korespondenta „Washington Post”, który podczas podróży po krajach Europy zachodniej i wschodniej odbył liczne rozmowy z przywódcami tych krajów na temat polityki zagranicznej USA, generalnie można wyciągnąć taki wniosek, że „Stany Zjednoczone prowadzą obecnie politykę z pozycji aroganckiej siły”.

■ Chińskie Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego podpisało z przebywającym w Pekinie przedstawicielem firmy „Flat” umowę na zakup 700 ośmio- i dziesięciolitra nowych samochodów ciężarowych. Jest to jedna z największych tego rodzaju transakcji zawartych przez Chiny w latach 1965—66. Tabor samochodowy ChRL ocenia się na 250—300 tysięcy pojazdów, a potrzeby kraju wynoszą 5 milionów ciężarówek. Roczna produkcja własna oceniana jest na ok. 20 tysięcy sztuk.



(Sonntag)

stworzone tzw. „międzynarodową organizację hunweibinów”, której naczelnym zadaniem jest popularyzowanie „myśli Mao Tse-tunga” oraz nawiązywanie kontaktów z młodzieżą całego świata.

czyną wzmoczonego odpływu ludności wiejskiej do miast. Tak na przykład w RSFR w latach 1958—64 ludność miejska wzrosła o 13 mln osób, przy czym na przyrost naturalny ludności miejskiej przypadało około 5,2 mln osób. W tym samym czasie ludność wiejska mimo wyższej stopy przyrostu naturalnego zmniejszyła się o 4 mln osób.

■ Wielka batalia polityczna, jaka rozgorzała w Stanach Zjednoczonych wokół okoliczności śmierci Johna Kenedy’ego — pisze „Paris Jour” — w istocie rzeczy stanowi zapoczątkowanie kampanii dotyczącej wyboru prezydenta w roku 1968.

■ W dniu święta narodowego Albanii uruchomiono w Tiranie nową, potężną radiostację, zbudowaną przy współudziale specjalistów chińskich. Informując o tym fakcie agencja ATA demontuje jednocześnie „wrogię pogłoski” według których specjaliści chińscy przybyli do Albanii, aby zbudować tam bazę rakietową. Nasze rakiety — pisze ATA — to rakiety ideologiczne. Są one potężniejsze niż wszystkie bazy zbudowane na czterech kontynentach świata, a mające służyć do zakłócenia ludzkiego spokoju i podporządkowywania narodów posiadaczom tych baz.

■ Członek Izby Reprezentantów L. Wolff udał się do Hongkongu z zamiarem uzyskania wizy wjazdowej do ChRL za pośrednictwem chińskiego biura podróży w tym mieście. Celem jego ewentualnej 2-tygodniowej podróży — jest „zobaczyć co się tam dzieje”.

■ Korespondent agencji AP donosi, że Związek Radziecki i Stany Zjednoczone miały dojść w zasadzie do porozumienia co do tekstu układu o swobodnym i pokojo-

ANGIELSKI SPOSÓB PISANIA



O Anglikach napisano wiele złego i wiele dobrego. Złe: „Anglicy są narodem kramarzy”. Dobrze: „Anglicy to najrozsądniejszy naród na kontynencie europejskim”. Złe: „Anglik nie ma zdrowego rozsądku, nigdy go nie miał i nigdy go nie posiadzie”. Dobrze: „Nawet najgłupszy Anglik w rozmowie o polityce potrafi powiedzieć coś rozsądnego”.

Ale nas (a przynajmniej piszącego te słowa) nie obchodzi enoty i nicenoty narodu angielskiego. Obchodzi nas kultura i literatura tego kraju i o nich chcielibyśmy tutaj pomówić. A okazję po temu mamy znakomitą, bo właśnie ukazał się tom (ponad tysiąc stron objętości) George’a Sampsona „Historia literatury angielskiej w zarysie”. Warto zauważyć, że w ostatnich latach przybyło nam wreszcie trochę książek o literaturach obcych. Nigdy nie byliśmy zasobni w podręczniki i kompendia, literaturom obcojęzycznym poświęcone, toteż każdą nową rzecz w tym zakresie należy witać ze szczególną uwagą. Pojawili się już w nas historie literatury niemieckiej, francuskiej i hiszpańskiej, w przygotowaniu znajdują się historie literatury włoskiej i rosyjskiej. Maluczko, a doczekamy się książek o literaturach innych krajów i w ten sposób wypełni się dotkliwa luka w naszej polityce wydawniczej.

„Historia literatury angielskiej w zarysie” jest skrótem 14-tomowej „Cambridge History of English Literature” i że obejmuje historię piśmiennictwa angielskiego od początku aż do chwili obecnej, traktuje ją silą rzeczy bardzo zwięzle i szkiecowo. Nie zadowolili też historia ta badaczy literatury angielskiej, ci sięgnąć muszą po inne pozycje, szczegółowo i obszernie traktujące zarówno epoki tej literatury jak i jej pisarzy. Ale na naszym rynku, gdzie tak bardzo odczuwalny brak podobnej publikacji, dzieło Sampsona spełni dobrze rolę przewodnika i orientatora na obszarach mało na ogół znanych naszemu czytelnikowi. Czytelnik polski zna poszczególnych pisarzy angielskich, zna poszczególne utwory, lecz nie zna warunków historycznych, w jakich rozwijała się literatura angielska. Sampson nie stroni w swoim dziele od analizy czynników politycznych, które wpływały na rozwój literatury

jego kraju. Trzeba mu oddać sprawiedliwość: czyni to dobrze, zachowując umiar i nie burząc proporcji. Jego podręcznik zaleca się jasnością i przejrzystością wykładu, nie grzeszy nadmiarem rozważań teoretyczno-abstrakcyjnych, jest — jak na Anglika przystało — dostatecznie konkretny i ścisły. Muszę wyznać, iż lubię literaturę angielską i angielski sposób pisania. Może nie obfituje ona w tyle błyskotliwości, co literatura francuska, ale za to jest mniej spekulatywna i zawila, niż ta. Anglicy czują niechęć (żeby nie powiedzieć: wstręt) do spekulacji. Lubią konkretność, jasność oraz — co dodaje im tyle powabu — lubią humor. Anglik, który w swoim przemówieniu nie powie dowcipa, jest zgubiony w opinii swoich słuchaczy. Jest też mocno krytyczny, nie szczędzi swemu narodowi ostrych słów przysięganych, co łatwo stwierdzić czytając utwory angielskich pisarzy.

„Historia literatury angielskiej w zarysie” zawiera m. in. rozdział pt. „Epoka T. S. Eliota”. Rozdział ten uobecnia jak wielki wpływ wywarł Eliot na rozwój literatury dwudziestowiecznej w Anglii, ale także wyjaśnia, skąd u wielu poetów polskich (zwłaszcza młodych) wziął się zwyczaj wplatania rozmaitych cytatów w oryginalne utwory poetyckie. Właśnie od Eliota, który pierwszy zapoczątkował tę metodę, Tyle tylko, że to, co u mistrza było artystycznie uzasadnione, u jego uczniów i naśladowców stało się po prostu manierą a niekiedy wręcz dziwactwem.

O moim ulubionym pisarzu, Józefie Conradzie, Sampson pisze z najwyższym uznaniem („największy powieściopisarz angielski tego stulecia i chyba najbardziej godna uwagi postać w całej historii literatury angielskiej”), ale poświęca mu tak mało miejsca, że pozostawia w nas nie tylko uczucie niedosytu, lecz nawet żalu. Pocięliśmy się jednak: literatura o Conradzie, również u nas w Polsce, jest coraz bogatsza i mamy gdzie sięgnąć po wiedzę o nim i jego dziele.

„Historia literatury angielskiej” Sampsona potwierdza w nas to, co wiemy skądinąd: że trwałą cechą piśmiennictwa brytyjskiego jest niezachwiana wiara w człowieka, w jedność ludzka. Ta wiara w indywidualne wartości człowieka przenika powieści, dramaty, poezję i staje się kluczem, przy pomocy którego można wyjaśnić wiele tajemnic i uroków angielskiej literatury.

Jan Kąkolowski

RZĄD DUSZ

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale żadna z tych okazji nie przyspiesza tu niczyjego bicia serca, nikt się tu nie spieszy, czas nikogo nie nagli. W listopadzie na wsi życie przybiera tempo zwolnione, również i Słupia — jak ociężały wiejski kot, syty łowów na rżymkach — zapada w swą zimową drzemkę na przypiecku.

Więc jest to dobra pora do gawędy, i chyba najlepszy czas dla reportera, ciekawego oblicza polskiej wsi a.d. 1966. Jakież to oblicze? I dlaczego mamy je studiować właśnie w Słupiu, wsi wybranej chyba z przypadku, zbyt już może leżącej na odludziu, odsuniętej od wielkich szlaków?

Bo Słupia niczym się przecież nie wyróżnia, jest kwintesencją przeciętności. Zarazem jednak reporter ma nadzieję, że znajdzie tu pewien punkt odniesienia, który może ułatwi mu porównanie: o Słupiu napisano kiedyś książkę. Takie było założenie, taki plan reportażu. Życie powiodło piszącego te słowa innym tropem, więc spojrzmy na tę wieś i to przez ostro załamujący obraz rzeczywistości pryzmat sprawy, na którą reporter natrafił zgoła nieoczekiwanie.

2.

Pierwszy napomknął o tym — z wstępnym zażenowaniem — krępy, wąsaty chłop czekający na swą kolejkę przed młynem. Zrazu rzucił to jedno tylko zdanie — „Takie nieszczęście z tym człowiekiem”, potem dodał tonem domyślnym, odgadującym — „Pan pewnie przyjechał w sprawie zmian w parafii?” Ale zaraz ugryzł się w język, umilkł nieufny i zezłony na siebie. Od strony młyna stary drewniany kościółek krył się za drzewami, gdzieś aż na skraj wsi, a przy nim te dwa murowane, niegdyś zaprzyjaźnione domostwa: plebania i organistówka. Chłop mruknął: „Spodziewamy się, że tu przyjadą w tej sprawie z nami gadać”. Przed plebanią, stał proboszcz: czarna, wysoka postać, o twarzy nierozpoznawalnej z tej odległości. „Więc jak coś takiego mogło się zdarzyć?” Pytanie padło w próżnię i reporter, zaskoczony wizją takiego konfliktu, zawahał się jakimiś iść dalej tropami. A wąsaty chłop powiedział na odczepne: — „Ja tam nie wiem, niech mówią ci co skargi pisali. Niech gadają ci z rady parafialnej.”

Wystarczy zejść z szosy na kamienistą dróżkę wiodącą do kościoła, by czarna wysoka postać sprzed plebanii od razu znikła. Reporter puka w drzwi przysadzistego budynku. Odpowiada mu tylko echo w głębi starego domostwa — i cisza. Gonty kościółka, szerniałe ze starości, ociekają rześkim deszczem, na kutej w żelazie furcie ogrodzenia wisi czyjs zapomniany różaniec o niebieskich paciorkach. Reporter naciska kłamek furty, zgrzyta zardzewiałe żelastwo lecz zamknięte nie ustępuje — również i kościół jest zamknięty na cztery spusty.

Nie ma w domu i organisty, oznajmia nam o tym dziewczynka, wychodząca właśnie z mrocznej sionki, obarczona wyładowanym tornistrem. — A kiedy można zastać tatusia? — „Za dwie godziny, albo koło południa”. — Ten wymiar czasu nie zapowiada precyzji, trzeba gdzie indziej szukać rozmówców, reporter zwraca do wsi, wciąż niepewny czy warto tej sprawie przypisywać społeczną wagę. Jest intymna ale i niezwykła. Może ukaże jakiś szczególny wyraz prawdziwego oblicza tej wsi. I czy to przywidzenie, czy też naprawdę zza ciemnych szyb plebanii odprowadza obcego czyjs badawczy wzrok?

3.

By pomówić z Wincentym Maratem — członkiem rady parafialnej — trzeba wędrować grąskąm blokiem wyjeżdżonej drogi aż na kolonię Borki. Wincenty właśnie nadjeżdża skądś i na progu swego obejścia wita nas patrząc oczami wyblakłymi ze starości, ale wciąż czujnymi. Wchodzimy do izby i tu, w półmroku jesiennego poranka, rajca wsparty oburącz o blat chybotałego stołu opowiada dzieje świętej wojny.

Stało się to 26 września. Tego pamiętne go dnia rada parafialna — wszyscy przejeżdżając grozą i świadomi wagi czynu miejscowi chłopcy — dokonali tego! Kościół jest od tej pory zamknięty, a klucze

przechowują członkowie rady objęci siecią spisku i tej konspiracji, co dzień kto inny, byleby w tajemnicy przed księdzem Karasińskim.

„Teraz mamy spokój” — mówi Wincenty. Oczy mu łzawią, przeciera je wierzchem dłoni, te stare oczy wiele widziały ale gdy Marat mówi o swym proboszczu, ukazuje się w nich wyraz zdumienia. „Nieszczęście z takim człowiekiem” — powtarza ten sam frazes zasłyszany już przez reportera godzinę temu we młynie, a na pytania odpowiada ogólnikiem: „Ksiądz Karasiński jest niedzielski, to znaczy on tak jakby nie rozumiał i nie widział jakie teraz czasy. Chłopi teraz już nie to co dawniej, obrażać się nie pozwolą, a ludzie ze Słupia to zawsze byli dumni, hardzi i wrażliwi na punkcie honoru. Ksiądz Karasiński ich poobrażał — i Wincenty Marat zdjęty gniewem krzyczy nagłe do reportera: „Jak długo mógł nas ksiądz Karasiński tak hańbić?”

Lecz jako się rzekło, jest to sprawa wstydliva, familijna, intymna. Marat mityguje się i ścisza głos. „Pisaliśmy do biskupa — nie pomagało. Do władz — nie chciały się w to mieszać, niby że to sprawa nie państwowa a religijna. Więc przyszło się samemu załatwiać” — i znów tonem w którym brzmi przerażenie — „Kto to słyszał, żeby parafianie odważyli się coś takiego zrobić swemu proboszczowi, żeby mu zatrasnęli drzwi kościoła przed nosem...”



Fot. Andrzej Wach

Ale przecież i pan, panie Marat, był za tym — przypomina reporter.

„Nie było innego wyjścia — odpowiada chłop. — Wszystkośmy dokumentnie przemyśleli, nie było innego wyjścia. I teraz kościół otwieramy tylko wicedziekanowi z Makowa.”

Gdy już stoję w drzwiach, Wincenty Marat dorzuca na odchodne uwagę niemal socjologiczną.

— Ksiądz Karasiński sam sobie winien. On miał majątek i przywykł do tego, żeby chłopów brać za kark. A teraz chłop górą, a nie jak dawniej...

4.

Rada parafialna, starzy chłopcy, nie ukrywający nieufności, ostrożnie cedzą słowa i tylko gniew może ich skłonić do mówienia o tej sprawie. Gdy jednak zaczął mówić, powtarza się nieuchronnie ten sam zarzut: — „Ksiądz miał nas, chłopów, za nic...”

Słupia była drugą duszpasterską placówką księdza Karasińskiego. W ślad za nim przyszła tu i wieść, że na pierwszym swym proboszczwie źle żył z parafianami. Potem ruchliwi i wszedobylscy ludzie tutejsi zwiędzieli się, że sukienkę duchowną przyodział ksiądz Karasiński dopiero bodaj w roku 1946, a więc już dźwigając piątą krzyżkę na karku. Było to po stracie, jak się w Słupiu mówi, rodzowego majątku gdzieś za Wisłą, który przepadł ponoć w parcelacji. Chłopi przywiązują wiele wagi do tego szczegółu biograficznego swego eks-proboszcza i sądzą, że ksiądz Karasiński po parcelacji szukał nowego dla siebie miejsca w hierarchii nowo formującego się społeczeństwa. Może stan duchowny mamął go nadzieją zachowania dawnej zwierzchniej roli? Lecz czasy, czasy się zmieniły i ludzie w nowych czasach stawali się nowi. Słupia w latach sześćdziesiątych dawno już zapomniała o fernalskiej pokorze. Ksiądz Karasiński się przeliczył, nie mógł po dawnemu władać. Więc może stąd ta złość do chłopów, do wsi, do całego świata.

Bo od początku traktował swych parafian jak fernali, z ambony wymyślał słowami jakich kościół nigdy nie słyszał, w rozmowach obrażał boleśnie ambicje i chłopski honor. Barany, śmierdziuchy, bydło. Coraz głębiej grzązł w kłótnie, swary, burdy. Aż nienawidzić uczyniła go ślepym i odebrała mu rozsadek.

Długi rejestr wstydliwie zrazu przemil-

śwym zagonie za dopuszczenie do komunii. W mroku starokawalerskiego pokoju chytrzył i oszwabiał parafię: więc zebrał na remont organów pieniądze nie wypłać majstrom aż rada musiała mu je wydierać, jak z gardła. Więc w gorszących targach o każdy grosz — Złodziej! — krzyczał pod adresem kościelnego i organisty; i biadał, że otaczają go same wydrwigrosze i lajdaki.

Ale nie sprawy pieniędzy przeważyły. Dlaczego więc przebrała się miara ludzkiej cierpliwości? Czy sprawił to incydent ze starą Sobieszkową, której zapaszkę tak złośliwie przytrzasnął drzwiami kancelarii, że kobiecina uwieszona sterceć musiała godzinami na słocie aż podniosła taki wrzask na całą wieś, że syn jej przybiegł i ją uwolnił, a księdzu naubił. Czy może zgroza wzięła radę, że kościół całkiem opustoszał. Jeszcze więc parę razy próbowano poruszyć władzę kościelną, a gdy się nie udało, po pogrzebie starej Masłochy, zmówiwszy się uprzednio, rajcy przejechali i struchlali, klucz od kościoła przed własnym proboszczem ukryli.

5.

Niegdyś, w tutejszym dawnym świecie, sprawa ta byłaby długo, głośno i szeroko komentowana. Ale dziś — ku memu zdumieniu — nawet dla ludzi ze Słupia stanowi ona mało ważny epizod codzienności.

Kierownik szkoły wzrusza ramionami. Sprawa księdza Karasińskiego? To oczywiście problem charakterologiczny, a także rażący anachronizm. — „Widzi pan — mówi nauczyciel — jestem tu od dziewięciu lat, dzieciaki mi do szkoły przychodziły najpierw boso, potem w drewniakach, a teraz niech pan sam zobaczy, czy jest pod tym względem różnica między Słupią a miastem. Wieś zaczęła się dorabiać, dźwiga się pod względem kulturalnym, mamy tu tylko dwóch analfabetów — dziadków kościanych, w każdym domu radio, ludzi interesuje świat. Więc coś dziwnego, że ten stary arystokrata (i nauczyciel używa takiego określenia w stosunku do księdza Karasińskiego) — że ten stary obszarnek ze swymi narowami znalazł się poza nawiasem?”

Agronom — młoda energiczna kobieta po latach nauki wróciła tu, do Słupia. Wzdycha z ubolewaniem, Ksiądz Karasiński? To taka przykra historia. Tylko dziewczotki mają temat do nie kończących się rozmów. Wleś ma poważne kłopoty, może dlatego mniej się tą sprawą przejęła, niżby można było zrazu przypuszczać. Bo to widzi pan, Słupia się na gwałt buduje, maszyny rolniczych wciąż mało, a spróbuj je kupić! I nawet płony (wzrosły z 15 na 19 q w ostatnich latach) jak tylko lepsze to i kłopot z tym, bo kosiarki wysiadają i trzeba, jak było w tym roku, kosić ręcznie. A traktorów mamy ledwie 5, więc na kolonii Wólka Krasnowska chłopcy zaczęli sobie budować własnym przemysłem i pomysłem traktory-Samy i parę takich „Esów” za 19 tysięcy już drugi sezon wcale dobrze pracuje. Więc niech pan powie co to za porządki, żeby chłop sam sobie musiał budować ciągnik, a oni tam (to ze szczególnej intonacją, bo mowa o miastowych) a oni tam przez tyle lat wciąż nie nadążają!”

Sprawa księdza Karasińskiego niezbyt interesuje panią agronom. Ta sprawa sama się załatwiła. Jest już zamknięta. Ksiądz ubrał sobie, że jest tak, jak było lat temu pięćdziesiąt i że on włada po szlachecku ciemnym, zahukanym chłopem. No i za taką pomyłką przyszło mu dziś drogo płacić.

6.

Między jesienią a zimą wieś Słupia drzemie na zapiecku, ale w piętrowym ośrodku zdrowia ciżba, bo chłopcy mają teraz wreszcie czas by leczyć swoje reumatyzmy. W izbie porodowej jednostajny, nie milknący wrzask, tu jeszcze nie dotarł spadek fali populacyjnej. W nowej agronomówce zmora biurokracji (choć w sennie i złagodzonej jesienną pluchą postaci) każe przepisywać w kółko plany zasiewów, szkolenia i arealów. Opośała, w gminie, również rozkwita sprawozdawczość i kult formularzy, ale późną jesienią i to ma swój smak jako pretekst, by się spotkać i pogadać. A zresztą co tu ukrywać, ludzie nawykli już do tych parkinsonowskich form egzystencji i chłopcy w Słupiu, jak wszędzie w Polsce, gadają ludowo-biurokratycznym dialektem, jota w jotę jak sołtys Kierdziołek.

Tak więc toczy się słupska codzienność ku przyszłości? A na uboczu, w zawieszeniu do czasu ostatecznych decyzji biskupich, stary ksiądz Karasiński zasklepił się w swej wrogości, nie wychodził niemal z plebanii, sam sobie pichcił i sam pierze, do nikogo nie otwiera ust i tylko godzinami, ukryty za firanką, śledzi przez okno spokojną, senną i łatwą przeciwieństwu współzyciu wieś, z goryczą przemysłującą o swym upadku, za który wini wszystkich, tylko nie siebie. Stary, opuszczony człowiek, niegdyś znieprawiony, dziś niemal zapomniany. Żyjący tylko przeszłością, bankrutem, kłeską.

WACŁAW BILIŃSKI

str. 3

Na SPOTKANIE słońca

Dalszy ciąg ze str. 1

przedsmak tajgi. Nawołoczkin zagadkowo pyta, czy znam legendę o kwiecie paproci.

WIELKA RZĘKA

Idziemy główną ulicą Chabarowska, która nosi nazwę Prospektu Marksa. Drzewa przesłaniają ciężar budynków. Zanim zobacze Amur, Nawołoczkin proponuje, abymy odwiedzili sklep rybny, gdzie można nabywać okazy pochodzące z wód wielkiej rzeki. Mój przewodnik chce mnie przede wszystkim zapoznać z kasatką, niezbyt wielką, ale osobliwą rybą, niepodobną do żadnej innej w świecie. Ale w sklepie nie ma kasatki, są tylko karpie, amury i już całkiem europejskie karpie.

Nawołoczkin jest bardziej zadowolony niż ja, z zamieszaniem „rybaczy” i zna niezliczone gatunki ryb. Wychował się na wsł. pod Chabarowskiem, na drugim brzegu Amuru, i dopiero jako pisarz przyjechał na stałe do stolicy Chabarowskiego Kraju. Chce mi, chociażby z wysokiego brzegu rzeki, pokazać strony swojego dzieciństwa. Przechodząc park i nagle otwiera się widok na Amur. Do przystani dobiega właśnie statek z dalekiego rejsu, z Nikołajewską. Chciałbym tam pójść, ale Nawołoczkin wciąż jeszcze pamięta o kasatce. Nieoczekiwanie więc podchodzi do jakichś przyrodnich rybaków, którzy zablockowali niemal całe betonowe nadbrzeże, rozkładając dziesiątki wędki i proszą, aby im pokazali połow „towarzyszowi z Polski”. Ludzie wzruszają ramionami, ktoś jednak wreszcie pokazuje dużą rybę na uwiezi wrzuconą w wody Amuru, aby się nie zamłarda.

Następnego dnia przeprawiam się na drugi brzeg Amuru wykorzystywanym przez chabarowszczyków jako plażę. Nie muszę czekać na prom, wykorzystuję to, że jakiś maszynista kłuta wykrzykuje z całych sił przez tubę, zachęca pasażerów do przeprawy. Kuter zatacza łagodny łuk, zbliżając się nieco do mostu, który widzę nierzadko zupełnie wyraźnie. Plaża do niemożliwości zatłoczona ludźmi, ale plaśnięcie na niej raczej marny, bo niemal wszędzie młodzi ludzie rozpalili ogniska. W składanym pawilonie można kupić lody, ale poza nim i dwiema barkami sezonowej przystani, nie ma żadnych urządzeń brzegowych.

Mój pożyczony „Fed” wzbudza nieoczekiwane zainteresowanie. Jakis był marynarz z wyłałowianym na ręce ogromnym nabisem „Port Artur”, była mnie, czy jestem korespondentem „Gwiazdy Pacyfiku”. To miał sowa, najpopularniejsza gazeta, organ partyni. Potem trafiam do kompanii jakichś młodzieńskich dziewcząt i chłopców, jak się okazuje, pracowników kombinatu odzieżowego „Wostok”. Grają na gitarach i śpie-

wają, nie kończąc ani jednej piosenki. Z wyjątkiem „Sza dziewczeczka do laseczka”, która jest tu równie popularna jak w Polsce.

Nieoczekiwanie zaczyna padać deszcz. W jednej chwili cały tłum ludzi zrywa się na nogi i zaczyna biec do najbliższej przystani. Okazuje się, że barka odeszła z sąsiedniej, przy której ustawiła się jeszcze większa kolejka. Po chwili jest to już dziesięć, albo nawet dwadzieścia kolejek w jednej. W niesamowitej ciszynie nie zauważa się już malowniczych ubiorów plażowiczów.

Tymczasem od przeciwnego brzegu odbija statek. Zbliża się bardzo powoli, ale od razu można wyczuć rosnący napór tłum. W tym momencie wkraczają do akcji milicjanci rzeczni. Wykonują jakies gwałtowne ruchy, choć są raczej bezzadni. Napór tłumy wybucha z nową siłą, kiedy wreszcie zaczyna wpuszczać na barkę. Milicjanci próbują rozbić tłum na mniejsze grupy, aby utrzymać jakiś taki porządek. Trafiam do trzeciej partii, jednej z pierwszych i już z pokładu barki robie zdjęcie kolejki. Jacyś młodzi ludzie zauważają z satysfakcją, zapewne do mnie adresując swój szep:

oddział przyrodniczy powstały za sprawą dyrektora muzeum, Swojewa, przewodnika, podróżnika, łowcy tygrysów, myśliwego i pisarza w jednej osobie. Większość ekspozycji do muzeum Swojewa zdobył osobiście. Między innymi młoda tygrysica, która stoi teraz wychnana w jednej ze szklanych gablot. Miejsce tygrysicy amurskiej spokrewnione są z bengalskimi, ale mają dłuższą od tamtych sierść. Jest ich już niewiele, odstrzał tych zwierząt jest więc wzbroniony. Wolno tylko łapać żywe, młode tygrysy na potrzeby cyrków i ogrodów zoologicznych. W Chabarowsku mieszka cała rodzina „tygrolowów” z dziada pradziada, Bogaczowowie. Najsławniejszy z nich schwytał gołymi rękami blisko 40 tygrysów. Jak się odbywa taki połow widziano na projekcji filmu dokumentalnego w miejscowej wytwórni filmowej. Film krecony był mozołnie, ponieważ pod wrażeniem niezwykle przyrody, operator zapominał zdjąć osłone z kamery. Ale Bogaczowowie pozwolili mu uniknąć wstydu. Wypuścili schwytanego tygrysa i zaczęli za nim pościg po raz drugi. Swojewa, który przyjechał do Chabarowska w roku 1937 jako absolwent moskiewskiego uniwersytetu na praktykę, która miała

trwać dwa lata, został tu na stałe. Szkołę życia dalekowschodniego przeszedł u Bogaczowów: gołymi rękami schwytał 3 tygrysy. O wiele częściej poluje na niedźwiedzie. Bury niedźwiedź usuryjski dochodzi do 600 kg wagi i jest podobno największy na świecie. W Chabarowskim Kraju żyją też czarne, bardzo groźne niedźwiedzie himalajskie. Jeden z nich zamieszkiwał w dziupli ogromnego drzewa na wysokości 17 metrów, bardzo rzadki wyodek. Swojewa ustrzelił go, drzewo zaś poleciał ścieć i przenieść do muzeum. Fragment pnia z dziuplą postawiono na naczelnym miejscu.

FONTANNA

Swojewa namiętnie ubiera się w ludową rosyjską rubachę, jak Tołstoj, w swoich koncepcjach przypomina jednak bardziej Rousseau. Jak prawdziwy człowiek natury patrzy z wyższością na przwbyśza z „dzungli miast” — tak określił Europę. Na całe tygodnie przepada w tajdze i ma z niej obok triumfalnych, bardzo tragicznych wspomnień. Był świadkiem śmierci swoich sied-

miu najbliższych przyjaciół, kiedy w tajdze, na rzece wyrwała się lodź, która plynęła ekipa naukowców.

Chabarowsk należy do jednego z nielicznych miast w Związku Radzieckim, gdzie milicja wyposażona w „dubinki”, czyli mówiac do naszemu, w parki, Potomkowie ze stańców mają, jak się okazuje, bardzo gorącą krew i harde dusze, nadszytżalne środki okazały się więc konieczne. Gitarzystów poznałem w nocy, kiedy na głosy wykonywali transpozycje „Amurskiego walca”, której słowa mówią o tym, że miejscowa milicja jest dzielna, a miejscowi chłopcy jeszcze dzielniejsi. Dwaj gitarzyści, przedstawili mi się jako studenci, choć nie dawałem im więcej niż po szesnastu lat. Śmieszcy z nich zaproszono do razu:

— Wymieńmy swoje adresy. Co tanie u nas, ty przyleśz mnie, a co tanie u nas, ja przyleśz tobie.

Nigdy nie przechodziłem z nim na „ty”, ale to, jak widać, nie miało żadnego znaczenia.

Drugi „student” spostrzegając widocznie, że tempo spoufalania jest jednak za szybkie, sprósował pojeźnawczo:

— Możemy po prostu pisywać do siebie listy.

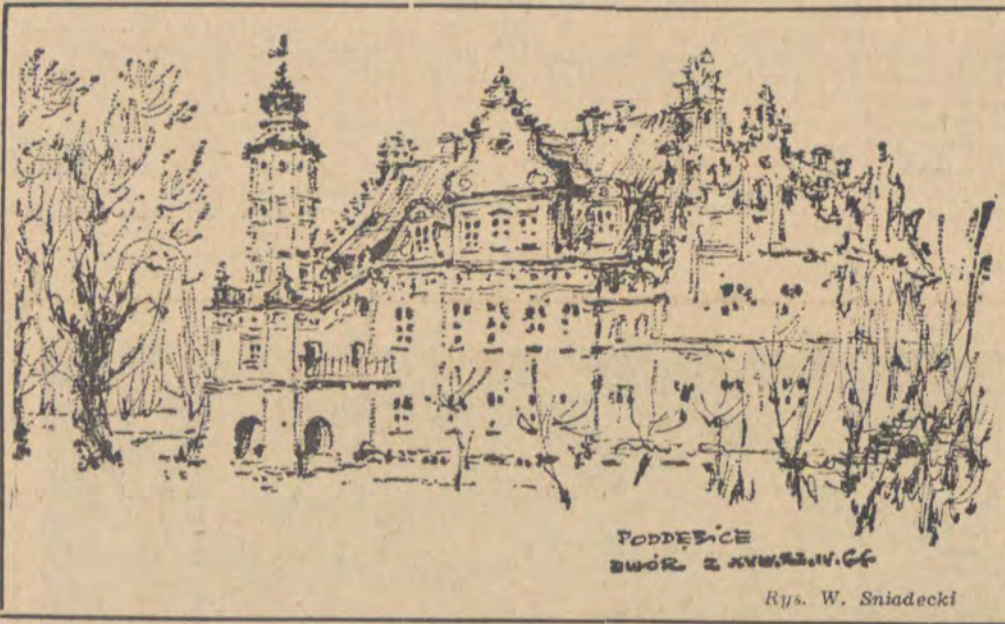
Kiedy spada maska „studenta” okazują się dosyć przeciętnymi młodymi ludźmi o dosyć przeciętnych marzeniach. Pracują jako praktykanci na pobliskiej budowie, mają rodziców, którzy ich utrzymują, ale chcieliby się już usamodzielniać, zdobyć własne mieszkania, posiadać pieniądze. Jeden z nich spędził 15 dni w areszcie, oskarżony o „miekkie chuliganstwo”. Czy chcieliby wyjechać na zachód ZSRR, do Europy? Zdaje się nikt nie postawił im nigdy dźwiaczniejszego pytania: wybuchają śmiechem.

— Pan wybaczy, ale myśmy się tutaj urodzili!

BLIŻEJ SŁOŃCA

Chabarowsk w pewnych okresach roku sprawia wrażenie miasta kobiet. Jest wprawdzie tylko jeden większy zakład przemysłowy, zatrudniający kobiety, odzieżowy kombinat „Wostok”, ale mimo obecności w mieście tak wielkich zakładów jak „Amurkabel” czy „Diesel-Amur”, gdzie pracują przeważnie mężczyźni, słaba płęć wyraźnie przejawia. Tajemnicą tego jest prosta: ogromny odsetek chabarowszczyków pracuje w żegludze śródlądowej i wpływa w wielomiesięczne rejsy ku brzegom Pacyfiku. W sezonie wpadają do domu na dzień, dwa, żeby, jak się tu mówi, policzyć dzieci. A potem znówu plyną w dół Amuru, na północny-wschód, bliżej tych stron, w których najpierw wschodzi słońce.

KONRAD FREDLICH



— Niech ich tam dobrze opisze. Zeby tak mało statków dać przy niedzieli.

— A pieniądze pobrali — dodaje równie cicho ktoś z tłumy.

Po chwili na pokładzie barki nie ma już ani jednego wolnego centymetra przestrzeni.

CZŁOWIEK NATURY

Miejsce muzeum krajoznawcze ma tylko dwa oddziały: przyrodniczy i historyczny. Przed głównym wejściem, na trawniku, słabo widoczny z ulicy tkwi sobie w ziemi „kamienny zółw”, stanowiący jedną z osobliwości Chabarowska. W oddziale historycznym, na piętrze, mówiac dzwikiem przewodników, konieczne trzeba obierać stroje ludowe Nanajców, małego narodu azjatyckiego, który pierwszy zasiedlił te ziemie. Dla Nanajców jest zaledwie kilka tysięcy; spory odsetek młodzieży o wyraźne monoidalne rysy twarzy, studiują na licznych wyższych uczelniach Chabarowska.

Ale jeszcze bardziej wart jest obejrzenia

trwać dwa lata, został tu na stałe. Szkołę życia dalekowschodniego przeszedł u Bogaczowów: gołymi rękami schwytał 3 tygrysy. O wiele częściej poluje na niedźwiedzie. Bury niedźwiedź usuryjski dochodzi do 600 kg wagi i jest podobno największy na świecie. W Chabarowskim Kraju żyją też czarne, bardzo groźne niedźwiedzie himalajskie. Jeden z nich zamieszkiwał w dziupli ogromnego drzewa na wysokości 17 metrów, bardzo rzadki wyodek. Swojewa ustrzelił go, drzewo zaś poleciał ścieć i przenieść do muzeum. Fragment pnia z dziuplą postawiono na naczelnym miejscu.

Swojewa namiętnie ubiera się w ludową rosyjską rubachę, jak Tołstoj, w swoich koncepcjach przypomina jednak bardziej Rousseau. Jak prawdziwy człowiek natury patrzy z wyższością na przwbyśza z „dzungli miast” — tak określił Europę. Na całe tygodnie przepada w tajdze i ma z niej obok triumfalnych, bardzo tragicznych wspomnień. Był świadkiem śmierci swoich sied-

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI



W monachijskim puczu z 1923 roku skierowanym przeciwko „rządowi masonów, Żydów i bolszewików”, w jednym szeregu znaleźli się Hitler, Roehm, Goering, Rosenberg, obok generalnego kwatermistrza armii niemieckiej okresu I wojny światowej gen. Erika Ludendorffa i generała von Lossow. Po dziesięciu zaś latach właśnie marszałek Hindenburg powołał Hitlera na urząd kanclerza.

Równocześnie spora grupa emerytów i wojny światowej widziała w ruchu nazistowskim „moralne odrodzenie narodu niemieckiego”, a w Hitlerze — wodza, który zmyje „hańbę traktatu wersalskiego”. NSDAP chętnie sięgała do tradycji pruskiego militarysty. Bismarckowska teoria budowy Wielkiej Niemiec krwawo i żelazem odpowiadała teoretykom i praktykom nazizmu. Stąd urabiano legendy wokół tych dowódców okresu I wojny światowej, którzy pomimo bardzo już podeszłego wieku angażowali się w ruch. Dotyczy to także generała Karola Litzmanna — bojownika o „niemiecki wschód”.

Generał Litzmann urodził się 22. I. 1850 r. Jako porucznik brał udział w wojnie francusko-pruskiej 1870/71. Za udział w kampanii otrzymał żelazny krzyż i awans na kapitana. Po ukończeniu akademii wojskowej i krótkiej pracy w sztabie generalnym robi karierę jako dowódca liniowy. Dowo-

dzi 49 pp, następnie brygada piechoty, wreszcie dywizja. Widocznie nie wybił się z grona generalów, skoro po ukończeniu 60 roku życia został odsunięty od służby liniowej i pozostawał w dyspozycji ministra wojny.

Wybuch wojny początkowo nie zadowolili marzeń Litzmanna. Zamiast dowództwa nad korpusem otrzymał nominację na komendanta etatów 3 Armii, a więc stanowisko dla emerytów.

Dotknięty tym do żywego napisał list do cesarza Wilhelma II i otrzymał upragnione dowództwo, ale nie nad korpusem, lecz tylko nad 3 dywizją gwardii.

Dalsze losy gen. Litzmanna — to udział w bitwie łódzkiej i wyrwanie się z okrążenia; zwierzchnictwo nad 40 korpusem, do wódzenie grupa wojsk niemieckich wspomagających Austriaków (1916 r.). Pod koniec wojny bronił on odcinka frontu zachodniego w rejonie Souchez i w sierpniu 1918 r. został zdymisjonowany (78 lat).

Zaledwie umilkły strzały, wokół Litzmanna zaczęła narastać legenda. Zapoczątkował ją szef sztabu 3 dywizji gwardii mir V. Wulffen, który w końcu 1918 r. wydał książkę pt. „Bitwa pod Łodzią” (Die Schlacht bei Lodz). Wszystkie propozycje zastępstwa uczestników zostały w tej pracy zachwiane na korzyść generała Litzmanna.

Gen. Litzmann, zmuszony do oddożenia broni, chwytł z nasją za pióró. W artykułach pomstuje na „upadek ducha”, który przejawia się w niezdywypilnowaniu żołnierzy i buncie przeciwko władzy. Niemcy, wg gen. Litzmanna, nigdy nie pogodzi się z upokarzającymi naród ograniczeniami zbrojowymi. W 1919 r. Litzmann ogłasza studium pt. „Nowe niemieckie wojsko ludowe”. Zdaniem autora należy natychmiast (już w 1919 r.) przystąpić do tworzenia organizacji paramilitarnych, które pozwolą młodzieży poznać zaszczytną służbę wojskową.

Mrzonki starca w najbardziej brutalnej formie zaczęło realizować NSDAP. Nic więc dziwnego, że Litzmann w ruchu nazistowskim widział „odrodzenie ducha niemieckiego”, a nawiązał wodzowie bojówk zaczął powoływać się na autorytet „bohatera spod Brzeziny”. Jego dwutonowe wspomnienia stały się niemal lekturą obowiązkową młodych hitlerowców, a sylwetka autora stanowiła nieodłączną dekorację większych i mniejszych partiiogów.

Po osiągnięciu władzy przez Hitlera nie zapomniano o gen. Litzmannie. Dzień jego urodzin obchodzono uroczysto w 3 dywi-

zji piechoty, a parokrotnie führer w asyście generalów osobiście składał im życzenia. Popularyzowano także jego przeszłość wojenną w wielu książkach i broszurach podkreślając, że „duch Brzeziny ożył znnowu w narodowym socjalizmie... i pozostanie nieziszczalna własnością narodu niemieckiego” (H. Kube — General Litzmann, wyd. III, s. 23).

W uznaniu zasług „Lwa Brzeziny” okupowana Łódź została przemianowana na Litzmannstadt. Tylko warunki wojenne nie pozwoliły na zrealizowanie pomysłu wzniesienia ku czci Litzmanna monumentu na miejscu barbarzyńsko zniszczonego pomnika Tadeusza Kościuszki w Łodzi. Młt rozsnuwany przez hitlerowców wokół postaci Litzmanna trzeba ukazać we właściwych proporcjach historycznych. Dlatego konieczne jest przypomnienie najważniejszych faktów związanych z operacją łódzka i przełomem dokonanym pod Brzezynami w listopadzie 1914 r.

* * *

Rozpoczynając wojnę w 1914 r. niemiecki sztab generalny zakładał szybkie rozbięcie Francji, a następnie przerzucenie całości sił przeciwko Rosji. Lecz plan ten załamał się w bitwie nad Marna (5-9 września) i wojna manewrowa na zachodzie przekształciła się w walki pozycyjne.

Inaczej układała się sytuacja na wschodzie. Ofensywa wojsk austro-węgierskich nie tylko, że została powstrzymana, ale Rosjanie wkroczyli do Galicji, zajęli Lwów i rozpoczęli blokadę twierdzy przemyskiej. Natomiast bitwa nad jeziorami mazurskimi i w rejonie Insterburga (obecnie Czerniachowski) zakończyła się klęską carskich generałów.

Jednakże manewrowy charakter walk na froncie wschodnim utrzymał się aż do połowy grudnia 1914 r. Hindenburg po otrzymaniu posiłków przerzuconych z frontu zachodniego w październiku zaczął wykonywać wzdłuż z wojskami austriackimi natarcie na Warszawę i Deblin, Lecz Rosjanie odrzucili wojska sprzymierzonych i sami przeszli do pościgu.

Niemcy cofając się niszczyli barbarzyńsko linie komunikacyjne utrudniając posuwanie się 2 i 5 Armii, które jednakże znalazły się na zachód od Kutna, Sieradza, Radomska odczuwając dotkliwie brak zapasów, a zwłaszcza amunicji działowej. Dowódca frontu północno-zachodniego gen.

Ruskij planował wkroczenie na obszar Niemiec i osiągnięcie linii Jarocin — Katowice — Oświęcim. Chwilowo jednak tempo posuwania się ostabiło na czas odbudowy linii dowozowych.

Wojska rosyjskie wbiły klin w tereny dotychczas okupowane przez Niemców. Front ciągnął się od Włocławka na Krosno, Uniejów, Sieradz, Częstochowe, tworząc półwysep nad którym od północy i od zachodu wisiały oddziały gen. Mackenzena. Nie rozporządzając dostatecznymi siłami, by od czoła odrzucić armie rosyjskie, Hindenburg wykorzystał własną gestę sieć kolejową i przerzucił gros swoich sił w rejon Torunia i Inowrocławia, by wykonać boczne uderzenie na styk 1 i 2 Armii Rosyjskich.

12 i 13 listopada 1914 r. Niemcy uderzyli na samotnie stojący i rozciągnięty V korpus syberyjski, który nie dał się rozbić i wycofał się w stronę Plocka. 14-16 listopada trzy korpusy 9 Armii Mackenzena natarły od strony Kutna na prawe skrzydło 2 Armii Rosyjskiej. Po uporczywych walkach II i IV korpusy rosyjskie cofnęły się na Zgierz, Brzeziny, a równocześnie powstała luka między 1 i 2 Armii.

W wolną przestrzeń Mackenzena szybko pchnął grupę gen. Scheffera z zadaniem okrążenia Łodzi od wschodu i przebięcia się do Pabianic. Z rejonu Warty — Szadka niemiecka grupa gen. Frommela miała również przedziierać się do Pabianic, by zamknąć okrążenie w rejonie Łodzi aż dwie armie rosyjskie. 18-19 listopada rozpoczęły się dramatyczne walki o Łódź.

Dopiero teraz dowódca frontu północno-zachodniego gen. Ruskij zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Nakazał uroczyście obronę rejonu Łodzi i zaczął tworzyć improwizowany „oddział łowicki”, który miał za zadanie odbudować przerwana linię frontu i równocześnie okrążyć grupę gen. Scheffera. Naciskane ze wszystkich stron 2 i 5 Armie Rosyjskie prowadziły uroczyście obronę nie ponosząc dużej straty. Sytuacja stawała się szczególnie dramatyczna, gdyż po przecięciu przez wroga linii kolejowych w ogóle ustał dowóz amunicji.

Tymczasem grupa Scheffera przecięła tor kolejowy koło Gąlkówka i przez Bukowice — Kurowice przebiła się do Rzęwa i Tuszyńska. Dalsze posuwanie się Niemców zostało powstrzymane. Również i Frommelowi nie powiodło się sforsowanie linii obrony rosyjskiej. Natomiast krwawe walki toczono coraz bliżej granic miasta w Olechowie, Zakrzewie, Wiskitnie, ale nigdzie nie mogli

KULISY działania obcych wywiadów w NRF

Pewna część obywateli PRL, odwiedzających swe rodziny osiadłe w Republice Federalnej staje się, niemal od razu przedmiotem szczególnego zainteresowania wywiadu zachodniemieckiego. Jest ono wielokierunkowe i przebiega według pewnego schematu, oczywiście w różnych wariantach, w zależności od znaczenia obiektu i towarzyszących okoliczności.

Oto po upływie kilku dni rodzinie, która gości przybyła z Polski, bardzo często z Łodzi, składa niespodziewana wizyta jakiegoś nieznanego mężczyzny. Przedstawia się jako wysłannik np. Biura Podróży, albo jako przedstawiciel instytucji sprawującej pieczę nad przybyszami z Polski, albo funkcjonariusz federalnego urzędu ochrony konstytucji, czy wręcz komwojażer. Często przynosi ze sobą wódkę, drogie koniaki, czekoladę, cukierki, amerykańskie papierosy. Wiadomo, Polacy węży w kieszonkach nie hodują, są gościnni i lubią gościnność, więc wytworzenie namiastki rodzinnej atmosfery na dalekiej obczyźnie może okazać się bardzo przydatne. Rozmawia się wówczas i swobodnie, i bardziej intymnie. Jakoż, wstępnej wymianie zdań i poglądów na tematy ogólne, rozmowa zaczyna się klarować i zręcznie pokierowana schodzi z wolna na sprawy polskie. Teraz następuje faza, którą „mily” gość zawiązuje już tylko do pytań.

W jednym z dokumentów, udostępnionych nam przez służbę bezpieczeństwa Komendy MO m. Łodzi czytamy między innymi:

„...rozmowa sprowadzała się do następujących pytań, czy spotykam w Łodzi radzieckich żołnierzy?... Gdzie w Łodzi są koszary?... Gdy wypisywał mnie o to wyjął z tecz-

ki bardzo dyskretnie, plan Łodzi opisany po niemiecku... Siedział to mnie przodem, a tyłem do okna i zauważyłem w odbiciu szyby napis na mapie - „Łódź”...
A oto inna relacja takiej rozmowy:

„...poszperał w teczkę i wyjął z niej plan Łodzi. Położył go przede mną i wskazując jakąś drogę spytał, czy w okolicznych lasach są jeszcze wojska radzieckie?... Powiedziałem mu, że na takie pytania nie będę odpowiadał... Nie zrażony odmową, wskazał palcem na mapie jakieś inne miejsce w okolicach pewnego miasta i spytał, czy w tym miejscu znajduje się jeszcze lotnisko?... Odpowiedziałem, że wiem jedynie, iż na Radogoszczu znajduje się spalony przez uciekających hitlerowców obóz, w którym żywcem splonęli więźni tam Polacy. Był bardzo niezadowolony, ale odcepił się”...

Należy tu wyjaśnić, iż manewr z mapą ma dwojaką cel psychologiczny: po pierwsze - „zaraz sprawdzę, czy mówisz prawdę” i po wtóre - „wiem wszystko, ale muszę cię skontrolować, czy wykazujesz dobrą wolę”. Jedno i drugie na wszelki wypadek. A nuż się uda?

Oczywiście padają i inne pytania. Na przykład: „...spytał, ile razy odmówiono mi wjazdu?... ...po jakim czasie otrzymałem paszport”...

Po rozmowach następują zwykle próby nakłonienia do pozostania w NRF. Zresztą „probuje się tego i przed rozmową. Jeżeli upatrzonego obiekt jest twardy i nie można z niego wydobyć żadnej informacji, albo co więcej - są jeszcze okoliczności, mogą nastąpić dalsze „wizyty”, rozmowy, pytania, próby nacisku, itp., itd.

Kiedy indziej rozmowy reżyseruje się w rodzinnym gronie. Agent wywiadu składa w życie rodzinie X w porze obiadowej, kiedy to wszyscy są w kompletach i siedzą przy stole. Przedstawia się, powiedzmy, jako wysłannik biura ubezpieczeń, wita się ze wszystkimi po kolei i przysiąda do stołu. Nie chce nadużywać gościnności gospodarzy i nie chce być też częstowany, a że w teczkę ma akurat koniak, czekoladę i amerykańskie papierosy, więc wyklada to wszystko na stół... Pijecie i jedzcie, moi drodzy, trochę posiedzę z wami i zaraz idę dalej... Oczywiście, interesuje go tylko ta jedna jedyna osoba, która parę dni temu przybyła z Polski. Ale o tym wie na pewno tylko on, reszta może się tego domyślać. A zatem krótki wstęp, nawiazanie do Polski i wstępnym pytaniem.

Pewien łodzianin, który niedawno odwiedził rodzinę w NRF, relacjonuje takie „rodzinne” spotkanie z agentem zachodniemieckiego wywiadu:

„...wszedł w czasie obiadu, przedstawił się i usiadł przy stole... Rozmowa zaczęła się od pytania, czy podoba mi się w NRF i czy chciałbym tu pozostać na stałe. Odpowiedziałem, że w NRF podoba mi się, ale w NRF nigdy nie zostanie bo jestem Polakiem i czułbym się tutaj obco. Zdziwiła go taka odpowiedź. Następnie zaczął mnie wypytywać, co słychać w Polsce, jak tam się ludziom powodzi. Potem spytał, jakie są zarobki i ile ja zarabiam. Nie czekając na odpowiedź wymienił jakąś sumę pieniędzy i powiedział, że tyle zarabiam... Następnie dodał, z pewną miną: jak ja to wszystko dobrze znam, prawda?... Odpowiedziałem: jeżeli pan tak wszystko wie, to po co pan pyta?...”

Przedmiotem zainteresowania wywiadu NRF są też sprawy rodzinne i miejsce pracy. Więc zawód, zawód członków rodziny, miejsce pracy i jej charakter, nazwa instytucji czy fabryki, rodzaj produkcji, lokalizacja budynków itp... Często kroć agenci mają przy sobie dane personalne indagowanych osób.

Inna metoda, która stosuje zachodniemiecki wywiad do prób uzyskania określonych informacji o Polsce, i której warto trochę miejsca poświęcić, jest bardziej złożona i w zasadzie nie przewidywa stawiania pytań. Tutaj również jest pożądana scenografia rodzinna. Oto miły i niespodziewany gość, tym razem na przykład przedstawiciel jakiejś fabryki samochodów, człowiek inteligentny i w świecie oblatany, sprowadza rozmowę na temat stosunków panujących w NRF. A więc obywatelstwo, a więc problemy młodzieży, obecna polityka rządu NRF, przeszłość Niemiec, druga wojna światowa, hitlerzy, kampania wyborcza, stosunki NRF - NRD i inne. Niekrepcą dyskusję i jest ogromnie ciekaw opinii przybyłego z Łodzi kurtyny. Co też tam o NRF w tej Polsce mówią?...

Podejrzliwa rzecz taka dyskusyjna sonda, bo to niby nie o Polskę, a przecież każde nieostrożne słowo, czy sformułowanie, jest wyławiane z „problematyki NRF” i skrupulatnie notowane w pamięci lub w notesie. Sieć, którą zastawia tu agent ma małe oczka i niekiedy połów może się udać. Jest to - nazwijmy to tak - intelektualny wariant metody gromadzenia informacji szpiegowskich.

Bywa i tak, iż wędkę otwarcie zarzuca funkcjonariusz policji, z tym tylko, że na haczyku jest już złota rybka. Do drzwi puka mężczyzna w cywilu, wchodzi, wita się grzecznie, wymiata legitymację z napisem Deutsche Polizei i prosi o rozmowę z panem - tu wymienia nazwisko - który parę, czy kilka dni temu przyjechał z Polski. Przed nim też się legitymuje. Po wymianie paru oficjalnych zdań, bez dłuższych wstępów proponuje mu pozostanie w NRF, po czym nie cze-

kając na odpowiedź, stawia dalsze pytania: czy podoba mu się w Republice Federalnej, gdzie pracuje w Polsce, ile zarabia, zawód, stan rodzinny. Jeżeli to jest kobieta, to bez pośrednio po tym dobiera się do personalii męża: zawód, gdzie pracuje, ile zarabia, czy jest w partii? Dalej, jak rozbudowuje się Łódź i jak się ludziom żyje. Później - długa seria pytań na temat dystrybucji i liczebności wojsk radzieckich w Polsce. Jeszcze kilka pytań peryferyjnych i teraz owa złota rybka: propozycja bezwzględnej pożyczki w wysokości kilku tam marek na kupno upominków z NRF...

Propozycja, trzeba to podkreślić, bardzo niebezpieczna, bo jak przed wyjazdem do Polski tych „bezwzględnych” marek się nie odda, można popaść w skomplikowane tarapaty. Na przykład można pójść pod sąd za kradzież pieniędzy... A często oddać nie ma z czego.

W arsenale pytań mogą znaleźć się i takie, które zawsze ekscytują Polaka: stosunek Polaków do Niemców i do NRF oraz granica Polski na Odrze i Nysie. Prowokacyjne pytania. Tu łatwo może dojść do spłęcia, a w gniewie nietrudno o jedno słowo za dużo.

Nieraz padają propozycje kupna określonych informacji po „dobrej cenie”. W jednym z dokumentów pewien łodzianin relacjonuje:

„...powiedział, że zależy mu na informacjach z Polski, że nie chce za darmo i za te informacje dobrze zapłacić. Że przyjdzie później ze swoim współpracownikiem i te informacje spiszę. Upewniał, że nikt się o tym nie dowie, a dobrze zapłaci... Matka nie mogła tego osobnika wyrzucić za drzwi bo był z poljeji... Powiedziała, że oni nagabują prawie wszystkich przyjeżdżających z Polski...”

Wystarczy. Niniejsza publikacja nie jest, oczywiście, jakimś encyklopedycznym spisem metod „naboru”, które wywiad zachodniemiecki stosuje wobec obywateli PRL, czasowo przebywających w Republice Federalnej.

Z cytowanych dokumentów wynika - a można by ich przytoczyć znacznie więcej - iż agresywne działanie wywiadu zachodniemieckiego pada na grunt dla niego niepodatny. Nasza gleba jest pod tym względem nieurodzajna. Polacy dobrze pamiętają zbrodnie hitlerowskie, łapanki, więzienia, tortury, rozstrzelania, obozy zagłady, krematoria. Płonące miasta i wsie z ziemią zrównane. Pamiętają Gestapo, SS, SA i eksterminacyjne akcje hitlerowskich oddziałów specjalnych. Pamięć tych zbrodni towarzyszy Polakom wszędzie. Również jak znajdują się poza granicami swego kraju.

Dlatego wywiad zachodniemiecki jest w grubym błędzie, jeśli są-

dzi, że Polak, który miłuje swoją ojczystą ziemię, zechce z nim współpracować, że przyłoży choćby palec do odwetowych planów NRF i rozpętania nowej wojny.

Wszak wiadomo, iż działanie zachodniemieckiego wywiadu zmierzają do zmontowania w Polsce własnej agentury szpiegowskiej i w konsekwencji - do wojskowego rozpracowania obronności i potencjału ekonomicznego Polski. A próby wybielenia zbrodni hitlerowskich w Polsce, a gorączkowa krzątania neohitlerowska pewnych ośrodków politycznych NRF, a hasła i nawoływania do rewizji polskich granic na Odrze i Nysie... Wszystkie te zamierzenia wskazują na perspektywiczne cele militarne Republiki Federalnej. Nasze społeczeństwo jest szczególnie wyczulone na ten antypolski i niebezpieczny kurs polityki Niemiec zachodnich i doprawdy, wywiad NRF nie ma tu szans.

Z cytowanych dokumentów wynika, iż wywiad zachodniemiecki nie przebiega w środkach. Lecz wynika z nich również, i przede wszystkim, że jego brutalny i agresywny nacisk na nawiązanie współpracy szpiegowskiej natrafia na twarde i zdecydowany odpór obywateli PRL, którzy czasowo znaleźli się na terytorium Niemieckiej Republiki Federalnej. Ta patriotyczna postawa zasługuje na szczególne podkreślenie i uznanie.

Niemniej, szeroko zakrojona i aktywna akcja wywiadu zachodniemieckiego, a w szczególności perfidne metody nacisku, nakazują nieustanną czujność. Od czasu do czasu nasza prasa, radio i telewizja informują społeczeństwo, że służba bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych aresztowała agenta wywiadu zachodniemieckiego w mieście X czy Y. Tak, gdyż tu i ówdzie znajduje się zakonspirowany wróg, zdradca lub bankrut moralny, który z całą świadomością idzie na służbę obcego wywiadu. Tu chodzi tylko o cenę, za jaką się sprzeda.

Jednak najczęściej, do sieci zarzuconych przez ludzi Gehlena wpadają jednostki bez charakteru, słabe, uwikłane w jakieś afery, nie raz szantażowane, a nie raz lekkomyślnie, zwabione iluzoryczną obietnicą bogactwa i „słodkiego życia” na Zachodzie. O ich los nie troszcza się zachodni mocoodawcy, dobrze wiedząc, że kariery tych szpiegów kończą się błyskawicznie szybko. Ani też o to, że nigdy nie podejmą oni pieniędzy, przeznaczonych na zagraniczne konta bankowe...

W następnym artykule - smutne koleje ludzi, którzy „wybrali wolność” i po wielu gorzkich rozczarowaniach powrócili do kraju.

Niemcy przerwać pierścień wojsk generałów Krauzego i Karaulowa.

22 listopada została ostatecznie skłębiona „grupa łowicka” gen. Ślusarenki (później gen. Czurina), a od południa 1 dywizja syberyjska i 10 dywizja umocniły stanowiska nawiązując łączność z jazdą gen. Nowikowa. Sytuacja zmieniła się diametralnie. To nie 2 i 5 Armie Rosyjskie znalazły się w okrążeniu, ale z kolei grupa Scheffera trafiła w matnię i powinna była ulec zagładzie.

22 listopada Scheffer otrzymał rozkaz: „Zaniechać natarcia na Łódź. Cofnąć się na wschód”. Lecz następnego dnia drogi odwrotu były już przecięte. Scheffer wahał się co do wybrania linii odwrotu. Jego wątpliwości rozproszył generał Litzmann oświadczając, że 3 dywizja gwardii stworzy warunki do połączenia się z XX albo z I korpusami stojącymi na północno-wschód od Łodzi. Jednakże zwierzchnik nie wydał dyrektyw co do kierunku odwrotu.

23 listopada Niemcy oderwali się od nieprzyjaciela i zaczęli koncentrować rozrzucone oddziały. W tym czasie Litzmann postanowił na własną rękę przebiec się do Brzeżyn i umożliwić tym wyjście z okrążenia całej grupie.

24 listopada 3 dywizja „pod okiem” Litzmanna natarła na brzoźdy syberyjską z 6 dywizji piechoty, rozłożoną wzdłuż toru kolejowego między Justynowem i Gałkówką. Rozporządzając przewagą artylerijską Niemcy spędzili ze stanowisk 24 pp i zaczęli ostrzeliwać szrapnelami las. Zawiazały się bezładne walki, w czasie których jeden pułk rosyjski stawił opór trzykrotnie przewadze wroga. Równocześnie 23 pp rosyjski odrzucony w stronę Zakowic natrafił na inne oddziały grupy Scheffera i ponosząc ciężkie straty wycofywał się na Kuluszki. Pułk Kozaków, który znajdował się w odległości około 2-3 km od miejsca walki nie wziął udziału w boju.

Po opanowaniu drogi na Brzeziny wiadoma dla gen. Litzmanna stanowiąca łączność wroga, który powinien był znajdować się w mieście i na północ w stronę Strykowa. Pomimo tego wydał on rozkaz: „Dalszy marsz w kierunku Brzeżyn. Po zdobyciu miasta dalsze rozkazy będą wydane na rynku w domu, gdzie znajdował się sztab dywizji 18 listopada”. Była to typowa stawka „va banque”.

Na szczęście dla Niemców w Brzezynach znajdował się tylko sztab gen. Wasiliewa z niewielką osłoną. Zaskoczeni Rosjanie ledwie zdążyli uciec. Wezeli drogowy znalazł się w rękach gen. Litzmanna. Stąd na-

cierając w kierunku Strykowa lub Głowna mógł już liczyć na pomoc XX Korpusu z armii Mackenzena. Również i czołowe elementy XXV korpusu gen. Scheffera idące za 3 dywizją nawiązały walkę z 2 brzoźdą 6 dywizji syberyjskiej, zadając jej poważne straty.

W tym czasie kiedy cała grupa Scheffera toczyła walkę z osamotnioną 6 dywizją syberyjską, masa kawalerii rosyjskiej, znajdująca się na linii Kuluszki - Rokiciny pozostała bezczynna, zadowolona widocznie z tego, że jazda niemiecka podjęła ruchy odwrotowe. Również i północne ugrupowanie „oddziału łowickiego” w składzie 43, 63 dywizje piechoty oraz wzmocniony artyleria pułk Maksymowicza nie przyszyły z pomocą Sybirakom.

Po opanowaniu Brzeżyn gen. Litzmann wydaje rozkaz kontynuowania marszu na Stryków. Napotykać tylko na wysunięte oddziały zarówno II korpusu syberyjskiego (od zachodu) jak i rozpoznania z 43 i 63 dywizji (od wschodu) Niemcy przerywają się wraz z taborami, rannymi i jeńcami i łączą się z północnym ugrupowaniem 9 Armii. Grupa, która uważano już za straconą, wzmocniła lewe skrzydło niemieckie.

Dalsze walki pod Łodzi przyswaja charakter obustronnie zacietw i trwały do początków grudnia, kiedy to gen. Ruzskij postanowił zająć linie obronna wzdłuż Buzry - Rawki - Pillev i Nidy. Operacja łódzka była skończona.

Nie spełniła ona marzeń żadnej ze stron, natomiast poważnie wykrawała 9 armii Mackenzena jak i 2 i 5 Armie rosyjskie. Nie zrealizowano wtargnięcia na teren Niemiec, ale i Niemcy nie odrzucili nieprzyjaciela do linii Wisły.

Jaka była rola gen. Litzmanna w tych zmaganiach? Niewątpliwie w ciężkich momentach okrążenia nie stracił on energii i woli dalszej walki. Ponderał swa dywizje a także i całą grupę do rzetelnej próby przebiecia się. Przed nim stały dwie alternatywy: albo uda się przełamać pierścień okrążenia, albo trzeba będzie kapitulować. Nieoczekiwana pomoc okazała mu bezradność i niezdobywanie rosyjskich generałów.

Na trasie odwrotu grupa Scheffera napotykała tylko 6 dywizję syberyjską, a kiedy ta nawiązała nierówną walkę ani południowo-zachodnie ugrupowanie jazdy (dywizje Nowikowa i Charpentiera), ani stojące na północno-zachód od Brzeżyn wojska grupy łowickiej nie weszły do boju. „Lew spod



Brzeżyn” nie miał więc zbyt trudnego zadania. Sybiracy ulegli w nierównej walce, a na ostatnim odcinku odwrotu (Brzeziny - Niesuików) Niemcy mieli do czynienia tylko z pojedynczymi batalionami syberyjskiej piechoty.

Za niepowodzenie manewru mającego za zadanie okrążenie 2 i 5 Armii rosyjskich obwiniano gen. Scheffera; za przebiecie się spod Łodzi wychwalano gen. Litzmanna.

Wówczas to nadano mu przydomek „Lwa spod Brzeżyn”, dyskutowano później tak często i przez samego Litzmanna, i przez hitlerowców, którym była potrzebna legenda, że armia niemiecka w każdych warunkach nie daje się rozbić i nie kapituluje. Legenda stworzona z myślą o II wojnie światowej runęła na tymże wschodzie, o podbicie którego bezskutecznie walczył generał Karol Litzmann.



Rys. A. Grun

S. Y. AGNON

PRZYJACIEL, który był WROGIEM

Zanim Talpiot został zabudowany, Król Wiatrów uważał się za jedynego władcy tych obszarów, a wszyscy jego ministrowie i słudzy, potężne i uparte wiatry, zamieszkiwali tam buszując nad doliną i nad górami, wśród wzgórz i wąwozów, nieposkromieni w swoich poczynaniach, jak gdyby ziemia ta była w ich wyłącznym posiadaniu.

Pewnego razu odwiedziłem tę miejscowość i przekonałem się, że jest urocza — świeże powietrze i czyste błękitne niebo, a ziemia pełna swobodnej przestrzeni — dlatego zacząłem się tam przechadzać. Zaczepił mnie wiatr.

— Co tu robisz? — spytał.
— Spaceruję — odparłem.

— Aha, spacerujesz?

Klepnął mnie po głowie i zrzucił mój kapelusz. Pochyliłem się, by go podnieść, a wiatr pochwycił mój płaszcz i zrzucił mi na głowę, natrzęsając się ze mnie. Nim zdążyłem obciągnąć płaszcz, wiatr powalił mnie na ziemię i zaniósł się dzikim śmiechem. Wstałem i wyprostowałem się. Znowu ruszył na mnie i krzyknął:

— Wynoś się stąd! Wynoś się!
Ponieważ byłem słabszy od niego, odszedłem.

Wróciłem do miasta i wszedłem do mojego domu. Ale nie mogłem spokojnie siedzieć. Wyszedłem. Nie wiem czy chciałem tego czy nie, ale nogi same poniosły mnie do

Talpiot. Oczywiście, pamiętałem wszystko co wiatr wyczyniał ze mną. Zabrałem ze sobą płótno i kołki i rozbiłem namiot — schronienie przed wichurą i burzą.

Zostałem tam na noc. Nagle zgasiło światło. Wyszedłem, aby zobaczyć kto to zrobił. Nieopodal stał wiatr.

— Czego chcesz? — spytałem go.

Uderzył mnie w twarz. Wróciłem do namiotu, a wiatr powyrywał kołki, rozszarpał linki, przewrócił namiot i płótno podarł na kawałki. Następnie rzucił się na mnie i straszliwie poturbował.

I znowu poczułem się bezsilny. Podniosłem się z ziemi i wróciłem do miasta.

Wróciłem do miasta i pozostałem w obrębie jego murów. Ale mimo to w dalszym ciągu nie znalazłem spokoju, tęskniłem do jakiegoś miejsca, gdzie byłoby świeże pachnące powietrze. Od tego czasu nie było dla mnie miejsca na ziemi z takim powietrzem, jak tam w Talpiot. I wróciłem do Talpiot. Zabrałem ze sobą deski i zbudowałem chatę, aby uchronić się przed atakami wiatru. Wydawało mi się, że znalazłem bezpieczne schronienie, ale wiatr myślał inaczej. Nim minął dzień wicher zaczął walić w dach chaty i potrząsać jej ścianami, póki nie rozwalił, nie rozniósł całej.

Wiatr zniszczył moją chatę, moje schronienie. Dlatego byłem zmuszony wrócić do miasta.

Ale i tym razem czułem się w mieście tak, jak poprzednio. Nie mogłem się uspokoić. Ciągnęło mnie do tego miejsca, z którego mnie wypędzono!

Staralem się przekonać siebie, mówiłem:
— Zrozum, przecież nie możesz wrócić tam, skąd cię wygnano. A to co jest niemożliwe — jest niemożliwe!

Mimo to coś we mnie przeczyło, a kiedy tysiąc razy powtarzałem — nie! — to coś tysiąc i jeden raz krzychało we mnie — tak!

Wówczas z drzewa i z kamienia wybudowałem sobie dom.

Nie będę się chwalił moim domem. Był mały, ale się go nie wstydzi, chociaż wiem, że są domy większe i lepsze od niego. Mój dom był mały, ale było w nim dość miejsca dla takiego człowieka, jak ja, który nie tęskni do zbytku.

Wiatr dostrzegł, że wybudowałem sobie dom. Przyszedł i zapytał:

— Co to jest?
— To jest dom — powiedziałem mu.

Roześmiał się i rzekł:

— A niech mnie wszyscy diabli, jeżeli kiedykolwiek widziałem coś równie śmiesznego jak to, co ty nazywasz domem!

I ja również się zaśmiałem:

— To czego nigdy nie widziałeś — widziałeś teraz.

Wtedy uśmiechnął się, mówiąc:

— Co znaczy ten dom?

Odparłem ze śmiechem:

— Dom znaczy... dom!

Wiatr zaśmiał się i powiedział:

— Pójdę obejrzeć go.

Wyciągnął rękę i pochwycił drzwi. Drzwi trzasnęły i upadły. Dotknął okien, a one także rozleciały się w kawałki. Potem wspiął się na dach — i dach runął. Wiatr zaczął śmiać się ze mnie:

— Gdzie jest ten dom, który zbudowałeś?

Ja także pytałem, gdzie jest mój dom. Ale ja się nie śmiałem.

Początkowo, gdy wiatr wypędzał mnie — wracałem do miasta, ale w końcu i tam nie dane mi było pozostać. Napotykałem przeszkody na każdym kroku. Do miasta nie mogłem powrócić z powodu pewnych wydarzeń, a droga do Talpiot zamknięta była dla mnie przez wiatr. Miałem namiot i cha-

te — jednakże nie z nich nie zostało. Zbudowałem dom, ale i on nie ostał się przed siłą wiatru. A może on dlatego nie oparł się wichurze, bo był zbyt mały i kruchy, a duży i mocny dom stałby do dziś.

Zaopatrzyłem się w solidny budulec, mocne belki, wielkie kamienne bloki, gips i cement, wynajmłem dobrych robotników i byłem przy nich dzień i noc, doglądając pracy. Nauczony przykrym doświadczeniem, tym razem kazałem wybudować dom na głęboko wkopanym fundamencie.

Dom, już gotowy, mocno stał na własnej kamiennej podstawie.

Kiedy robotnicy skończyli budować dom, przyszedł wiatr i zaczął uderzać w okiennice. — Kto stuka do moich okien? — spytałem. Zaśmiał się figlarnie i powiedział:

— Sasiad.
— Czego chcesz, sąsiedzie, w taką burzliwą noc?

Roześmiał się i odrzekł:
— Chciałbym ci złożyć życzenia pomyślności w nowym domu.

— Czyż w zwyczaju sąsiadów jest wchodzić przez okno, jak złodziej?

Wiatr podszedł do drzwi i zapukał.
— Kto puka do moich drzwi? — spytałem go.

— To ja, twój sąsiad — rzekł wiatr.
— Jesteś moim sąsiadem, proszę wejść — powiedziałem.

— Nie mogę, bo drzwi są zamknięte.
— To prawda, jeżeli drzwi są zamknięte, znaczy to, że ja je zamknąłem.

— Otwórz! — krzyknął wiatr.
— Jestem bardzo wrażliwy na chłód. Poczekać aż zaświeci słońce, wtedy pozwolę ci wejść.

Gdy weszło słońce wyszedłem, by go zaprosić do domu, ale nie mogłem go znaleźć. Stanąłem przed moim budynkiem i zobaczyłem, że ziemia była pusta dokoła: ani jednego drzewa, ani jednego zielonego źdźbła trawy. Tylko pył i kamienie.

— Zalóżę tu ogród — powiedziałem do siebie.

Wziąłem łopatę i zacząłem kopać. Kiedy gleba była już przygotowana, zasadziłem drzewka. Spadł deszcz i zrosił je. Spadła rosa i drzewka wypuściły kielki. Słońce je ogrzało i one zakwitły. Nie upłynęło wiele czasu, a z drzewek wyrosły wielkie drzewa o wielu konarach.

Zrobiłem sobie ławkę i usiadłem w ich cieniu.

Pewnej nocy powrócił wiatr i zaczął z wielką siłą uderzać o drzewa. A one? Bliły go. Wiatr przybierał na sile i potrząsał nimi. A drzewa znowu oddawały mu rączy. Wreszcie wiatr stracił oddech. Odwrócił się i odszedł.

Od tego czasu wiatr uspokoił się, złagodniał, a kiedy przychodził zachowywał się bardzo przyzwoicie, a ponieważ on zmienił swój sposób bycia w stosunku do mnie, ja również traktuję go przyjaźnie. Gdy mnie odwiedza, wychodzę na jego spotkanie i zapraszam, by usiadł ze mną na ławce pod drzewami. A on przychodzi i siada przy mnie. Przynosi z sobą przyjemny zapach z gór i dolin, i delikatnie porusza powietrze. Od czasu gdy wykazał skrucę, nigdy nie przypominam mu jego dawnych czynów. A gdy odchodzi — zapraszam, aby mnie znowu odwiedził, jak to jest w zwyczaju u dobrych, przyjaźniwych sąsiadów. I my naprawdę jesteśmy najlepszymi sąsiadami, a ja bardzo go lubię. I on mnie też chyba lubi.

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

Antoni Kasprówicz

Mara

Jestem mara — pomiot burzy,
mój dom — kaźnię, lochy, gruzy.
Nad grobami rozstrzelanych
noszę truchta krwią zalane.

Oddech mój — zarazą ziemi
w trzewiach — głody rozbarzona.

Więc koczaste żuje druty,
gips i żuźle od krwi rude.

Jestem mara — pomiot burzy,
niech się burza nie powtórzy,
niechaj ziemia krwią nie moknie,
nie wybuchaj żywym ogniem.

Jestem mara — pomiot burzy,
niech się burza nie powtórzy.
W grozie ślepej i bezkresnej!
Niech przepadną, niechaj szczenę!

Przed maską Beethovena

Jak krater lawą
wśród magnetycznych chmur,
On —
„Erotka” — Esdur
wzniesł tajfuny
na morzach,
pożary
w lodowych bezdrożach.
A w trwożnych oratoriach
na podgwieżdżnych staccatach,
niby grzązący kometa
wstrząsa gmachem wszechświata

Nad wierszem:

I zaczął opowiadać,
i tak sugestywnie
że się zaczęły dziać dzwiry
przedziwne.

Aż wreszcie w blasku
słonecznych promieni
dotknięciem dźwięku —
mnie, Abba przemienił:
w ziarenko piasku,
w jaszczurkę płaską,
w źdźbło trawy
i oślepego ptaka.

A kiedy człowieczą przywrócił mi postać —
zapukał.

W biurze

Koledzy zgorszeni w biurze.
Przyszedłem spóźniony,
zaspiany.
Lecz u mnie w nocy —
burze,
ogniste huraganu,
ryjące „szafy”
kapiusze,
płonące miasta i wioski...

Usprawiedliwić się muszę,
o rany Boskie!

Opowiem personalnemu,
co u mnie nocą się działo.
A może...
a może i jemu...
czarne gołębie,
ognista gałąź?

Wiersz z tomu „W cieniu Oriona”, który ukaże się nakł.
Wydawnictwa Łódzkiego

TEATRY ŁÓDZKIE na CENZURO WANYM

Wolałbym, prawdę powiedziawszy, pisać o czymś innym niż o repertuarze bieżącym naszych teatrów. Nie z przekory, bynajmniej. I też nie dlatego, że wszystko, co można by powiedzieć, uważam za góry za mało płodne, za mało przydatne dla codziennej praktyki. Moja rezerwa wobec podyktowanego tematu bierze się stąd, iż po prostu nie bardzo wierzę, że ludzie teatru uwzględnią w szerszym stopniu nasze uwagi, nasze opinie. Owszem, przyjmują je, czasem głęboko, lecz jedynie te fragmenty, które odnoszą się do ich osobistej (aktorskiej, reżyserskiej) twórczości. Inne kwestie, takie np. które dotyczą tzw. programu czy profilu, mniej już ich zajmują. Tak rozumując — nie doceniam, być może, roli i oddziaływania krytyki, toteż w rezultacie — podcinam jakby gałąź, na której siedzę. Niech więc spadną. Wtem jednak, że jeszcze na tych gałęziach czas jakiś posiedzi — nie pozostaje mi lepszemu jak próbować w dalszym ciągu oddziaływać. Na teatry? Na widzów? Ja dawno dokonałem wyborów. Czy widać, że na widzów, a świadomość, że im to właśnie krytyk może być niekiedy potrzebny, łagodnił po trosze gorzyc opisanej bezzilności.

Dwie dotychczasowe wypowiedzi w rzeczonyj sprawie (R. Szydłowski i W. Orłowski) rozbrzmiewają dość pesymistycznie. Zapiski ostatniego autora ograniczają się nieomal do pretensji czysto repertuarowych, m. in. podkreśla się tu brak w teatrach łódzkich reprezentatywniejszych utworów polskiej współczesnej dramaturgii. Na przykładzie nie tylko miejsca wych doświadczeń widacza wyraźnie, iż pretensja ta nie byłaby istotna, bo nie propozycja w zestawie sztuk ani nawet nie problematyka przesądza o wielkości danego teatru. Wejście Różewicza czy Grochowiaka nie zmienia radykalnie łódzkiej sytuacji teatralnej, tak jak nie przeobraziły jej wystawiane dzieła Mrożka; sytuację tę determinują prze-

cież bardziej złożone i staranniej ukryte czynniki. Szydłowski przeprowadził staranniejszy sondaż, z szerszych wyszedł przesłanek. Odkrył coś nowego? Nie. Przy pominięciu sprawy dobrze znanej, nieraz już odsłanianej, wystrzyżł je, skonturował z pozycji dalszego obserwatora i zamknął swe troski w tytule: niepokój. Orientujemy się: jest to ogólniejsza konstatacja stanu kryzysowego. Wywód krytyka, a i również wnioski końcowe są przeprowadzone logicznie, można by je uznać i za słuszne, lecz pod warunkiem przyjęcia podstawowego założenia. Mieszczy się ono w stwierdzeniu równie nienowym, a mianowicie, że współczesna Łódź Teatralna nie posiada scen na miarę Schillera i Dejmka. Święta prawda. Jak prawdą jest niezbita, iż już od dyrekcji Michała Wołowskiego Łódź miała niezwykle, wręcz niepojęte szczęście do znakomych kierowników i aktorów. Nikt nie pokusił się o wyjaśnienie tego fenomenu, pojawiającego się w kontekście niemrawego i zapóźnionego życia kulturalnego i intelektualnego miasta, tej fali przypływów i tuż za nimi występujących odpływów. I to balansowanie, nie przynoszące zresztą równowagi, narzucało niezmiennie wysokie kryteria, jak najbardziej usprawiedliwione. Nigdy nikt nie stosował (i nie stosuje) taryfy ulgowej; ten sam wyznacznik ustala i sądy w cytowanym artykule, i nie dziwi, że manipulowanie odniesieniem musiało doprowadzić do ujemnej diagnozy.

Nie jestem i ja bez winy. Sam niejednokrotnie nadużywałem podobnych efektownych porównań. Z biegiem czasu znużyły mi się komparatystyczne i graski, zajęcie tylż bezużyteczne, co okrutne, w dodatku niezgodne z pojmowaniem historycznym. Choć zaprzestałem wypadków w przeszłość, wciąż czekam na tuste lata. Czy się doczekam? Bezpieczniej unikam krańcowości, za bardzo wszystkim krańca różni się. Tak, dzisiejszy teatr łódzki rzadko

dostarcza gorętszych wrażeń, okazalszych satysfakcji. Ale — czyż zarzut ten kierować należy wyłącznie pod tym adresem? Takie zastrzeżenia mamy przecież do bardzo wielu teatrów, także i przede wszystkim do teatrów działających w dużych ośrodkach. Sytuacja jest daleka od świetności i samouspokojenia, niechęć za odsyłać postuży choćby esej K. Puzyny z „Dialogu” (1966/67), zdzierający różowe okulary, zakłócający błogostan niepoprawnych optymistów.

Szydłowski z pewnością dobrze nam życzy, pisząc, iż „pragnęłoby się widzieć teatry łódzkie w czołówce całego kraju”. Czy chodzi o czołówkę wyłącznie warszawską, co by było zgodne ze stanem rzeczy, czy też w tej grupie znajdują się teatry pozastołeczne, co by z kolei budziło zastrzeżenia, bowiem tak nie jest chyba, jeżeli ta zaszczytna nazwa wyodrębni sceny wybitne na przestrzeni dłuższego czasu. Odnoszę wrażenie, że Szydłowski podnosi do tej rangi teatry, które od czasu do czasu mogą się pochwalić tzw. wydarzeniami. Jeśli tak, zgoda. Na palcach jednej ręki policzyć można sceny, rzeczywiście wybitne w sensie ciągłości czy nowości artystycznych, a o ośrodkach nie ma i co marzyć. Otóż w tej sytuacji ogólnopolskiej teatry łódzkie mogą już ubiegać się o tymczasowe miejsce w czołówce, a przynajmniej raz po raz takie miejsce zajmują; w ostatnich sezonach kilkakrotnie wchodziły w ów szacowny rewir, zaraz go zresztą opuszczając. Tak jak i inne w tym warszawskie, musiały go opuszczać.

Wydaje mi się dlatego, iż w granicach tego odniesienia, a po odrzuceniu lokalno-historycznego odniesienia — teatry łódzkie jakoś wytrzymują każdą konfrontację. Porównanie z „czołówką” chyba przeto celu, w konsekwencji zaś nieco nakrusza ujemny osąd. No, ani myślę czegokolwiek imputować; jeśli inaczej nieco wykładam tę myśl, to nie dlatego, ażeby uzasadnić niepokój odwracając w powierzchnię zadowolenie. Byłoby to mizerna pociecha i tego rodzaju obrona prestiżu Łodzi Teatralnej nie miała by sensu, nikomu by nie dała żadnych korzyści.

Sytuacja w naszych teatrach nie zachęca do okrzyków radości, nie jest też aż tak katastrofalna. Nie jestem np. tak bardzo pewny, czy tegoroczne propozycje repertuaru nie upoważniają do deprecjacji założeń programowych. W jednym sezonie może się coś

nie rymować, gdyż jakiś element otwiera nową tendencję, albo jest przedłużeniem wcześniejszej; stylu teatru nie określa jednorodność tematyczna i geneologiczna. Wprawdzie czysty zestaw sztuk może wywoływać już sprzeczności, ale istnieje przecież szansa jego realizacji w pokrewnych stylach. A nie znając jeszcze reżyserów łódzkich spektakli, nie wolno przesądzać z góry o rezultacie artystycznym; oto m. in. i przyczyną jałowości podobnych co nasze dyskusje nad samym repertuarem. Faktem jest natomiast, że zadanom, o których mówię, nie poddają zapraszani nagminnie reżyserzy — goście; jest plaga Łodzi, że ciągle musi się zwracać o reżyserską pomoc. Wystarczy zresztą przejrzeć w pamięci nazwiska PT gości „od reżyserii” i zadać sobie trud doowiedzenia się, co np. robili ostatnio, a okaże się, że w Łodzi powtarzają tylko swój produkt warszawski czy katowicki. Przy tym lista nazwisk wcale nie oszalała, chociaż dobry reżyser to okaz tak rzadki jak dobry dramatispersonarz. Odwoływanie się do „obcych” jest niechybnie przyznaniem się do własnej nieporadności, do indolencji. Szczególnie chętnie ucieka się do tego Teatr im. S. Jaracza; doskonałość wielu spektakli na tej scenie przygotowanych, nie podnosi więc bezpośrednio chwały placówki, oraz co już smutniejsze, uniemożliwia wręcz proces tworzenia własnego stylu. Gdzieś w przekroju problemów, w plebejgacji dzieł klasyki rewolucyjnej, w eksponowaniu klasyki XX wieku tkwi pewna odrębność tego teatru; są to specyficzności nie najważniejsze, niewiele z nich samych odczytać można, niewiele mówią o uprawianej tu sztuce. W tych warunkach nawet dojrzały aktorzy, których ma teatr kilku, nie osiagają, jak sądzę, krańców swych umiejętności. Przebąkuje się o rychłym odejściu K. Chameca; nie chce się ni myśleć o tym, odczuje ten kolejny exodus nie tylko teatr.

Przeciwstawną taktykę „antymportową” stosuje Teatr Powszechny, pracując w pewnej izolacji: od dawna nie zwykł nikogo zapraszać. Przy ul. Obr. Stalingradu panują zasady artystycznego jedynowładztwa. Och nie, określać tak ten ustrój, nie ganie takiego porządku. Jedynowładztwo ma zresztą swoje dobre strony, np. odształca się w bardzo klarownej poetyce. Stąd wszystkie przekazy trafiają tutaj do odbiorcy. Można, naturalnie kwe-

stionować jakość składowych ofert, nie sposób natomiast obwiniać o niekonsekwencje. Biorąc za podstawę rodzaj propozycji, w minionym sezonie nastąpił wyłom: inscenizacja „Tanga” Mrożka. Zakończyła się sukcesem. W zapowiedziach znalazło się „Wesele”, nby „Tango” i pol. XIX w. Czy te ambicje, sięgające jeszcze i „Dziadów”, jak pamiętamy, są na miarę sił i środków? Zamiar nie przystaje do ukształtowanej już poetyki inscenizacyjnej tego teatru, obawiam się, że Wyspiański nie wyszedłby cało. Może lepiej nie grać go teraz. Czy jakiś teatr łódzki potrafiłby obecnie wystawić to dzieło właściwie? Moim zdaniem — nie.

W centrum niepokoju Szydłowski znalazł się Teatr Nowy. Prawda: sądząc po pozycjach repertuaru, które pla nuje się wystawić, kryteria wyboru były nader różnicowane, wynikające jakby z zainteresowań trzech działających reżyserów (T. Minc, T. Byrski i J. Kłosiński). Jeśli tak, to bieżący sezon byłby jeszcze próbą dochodzenia do jakiejś dominacji stylu styczno-koncepcyjnej; wypadkowa tych orientacji winna ostatecznie określić fizjonomię artystyczną teatru. Było tylko pozostawić im nieco czasu.

Stawianie najwyższych ambicji jest ze wszch miar

słuszne. Nie sądzę, by jakiś teatr nie poczytywał sobie za pierwszy obowiązek wypełniać je najgorliwiej. Nie zawsze to się udaje, nie zawsze marzenia, dopingowane dobrymi życzeniami widzów, spełniają się całkowicie.

Napisałem: wolałbym dyktować o czymś innym. Mój niepokój o przyszłość łódzkiej sztuki teatralnej kofwiczę po innej stronie rampy, po tej stronie, gdzie my, spoza teatru, możemy skutecznie działać. Teatr, jaki mamy, daleki od ideału, jest jednak dość atrakcyjny, może w większym niż obecnie stopniu oddziaływać, stać się źródłem wzruszeń dla wielu tysięcy potencjalnych widzów. Zaabsorbowani ważnymi sprawami artystycznymi, uwikłani w różnorakie spory, zawężiliśmy pole widzenia, nie dostrzegamy, iż jeszcze ciągle poza zasięgiem teatru znajdują się masy. Jak je przyciągnąć, jak je zdobyć na trwałe, oto pytania, które od kilku lat przestaliśmy stawiać, nie tylko zresztą w Łodzi. Prowadzone badania socjologiczne nad kulturalnymi zainteresowaniami np. włókienników nie wyjaśniają dostatecznie przyczyn absencji w salach (m. in.) teatralnych. Warto więc, ażeby tym sprawom, jakże istotnym i pilnym, poświęcić tylż samo miejsce. Może okaże się, że są troski poważniejsze niż np. źle zestawiony repertuar.

SPEKTAKLE tygodnia

| Film | |
|----------------------|---|
| WOLNOŚĆ | „Winnetou” I seria, 35 seansów 10 483 — 80% |
| POLONIA | „Kochankowie z Marony”, 35 seansów 9 816 — 50% |
| Teatr | |
| NOWY | „Sen srebrny Salomei”, 1 spektakl 500 — 80% |
| | „Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 3 spektakle 2 000 — 90% |
| NOWY Mała Sala | „Ojciec”, 6 spektakli 1 000 — 90% |
| POWSZECHNY | „Mocne uderzenie”, 2 spektakle 1 300 — 98% |
| | „My fair lady”, 2 spektakle 1 320 — 99% |
| OPERETKA | „Fajerwerk”, 7 spektakli 6 611 — 85% |
| FILHARMONIA | 2 koncerty 888 słuchaczy 65% |
| TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ | „Bliźniak”, 7 spektakli 1 987 — 100% |
| | „Rewolwer”, 6 spektakli 1 271 — 74% |

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają procentowy stosunek ilości widzów do ilości miejsc na widowni.

Pisarze o problemach literatury



ROMAN ŁOBODA

LITERATURA w epoce automatyzacji

Po wspaniałym rozkwicie książki, jedynej — nie licząc prasy — środka społecznej informacji w XIX w. nastąpiło zachwianie jej autorytetu — jako trybunu kolejno dla wieśczoń narodu, wielkich nauczycieli i inżynierów dusz. Dwudziesty wiek, a już bardzo wyraźnie trzecie dwudziestolecie ujawniło, że do

upowszechnienia treści poznawczych i humanistycznych bardziej nadać się radio, telewizja i film, niż książka literacka.

Pisarz zdał sobie sprawę z tego, że wśród ukazujących się wielu tysięcy tytułów rocznie, jego książka jest w tym ogromnym chorze pojedynczym głosem, który słyszą tylko ci, którzy chcą zbliżyć się do niego. Ponadto filozofia, socjologia, ekonomia, psychologia, pedagogika i inne nauki rozwinęły się tak dalece i uległy tak wielkiej specjalizacji, że nawet pobieżne ich poznanie przerasta czas i siły pisarza. Popularyzacja tych nauk i w ogóle upowszechnieniem tzw. wiedzy o świecie zajęły się z powodzeniem wydawnictwa popularno-naukowe. Zatem wszelkie wieszczanie, nauczanie i inżynierowanie straciło swój tradycyjny sens.

W takiej sytuacji fakt, że pisarz jest jednak artystą, twórczym dzieła sztuki, posiada trwałą i krzepiącą wartość. Wiedza pisarza o życiu i świecie nabiera nowych proporcji, wymiarów i głębi pod działaniem tego, co nazywamy formą, a co jest artystycznym przetworzeniem tej wiedzy. Nie jest to ani nowość ani rewelacja, niemniej jednak nigdy jeszcze cywilizacja nie oddziaływała tak gwałtownie i bezpośrednio na sztukę, że wszystkimi płynącymi stąd społecznymi konsekwencjami.

Współczesny pisarz znalazł się pod naporem dwóch sił: tradycyjnych wymogów więk-

szości czytelników i postępu technicznego

Tradycyjne wymogi wobec pisarza ciągle jeszcze nakładają na niego odpowiedzialność za losy historii i kuszają nauczaniem, krzepieniem, a nawet moralizowaniem. Postęp techniczny poszerza i usprawnia środki przekazu, które w zasadzie służą zwiększyć informację oraz łatwiej, a w najlepszym przypadku pouczającej, rozrywce.

Między jednym a drugim znajduje się pisarz, istota pełna na ogół dobrej woli, ale nurtowana problemami współczesności.

Głośnieki i ekrany, to wieszczanie narodów. Kino, telewizja, radio dają w wielomilionowym nakładzie łatwe, wygodne, zwięzłe i sugestywne porcje nauczania, krzepienia i zadziwienia; naród jest więc syty, a do książki niecierpliw, bo nie ma czasu.

Wbrew pozorom dla książki literackiej pozostał obszar eksperymentu i inspiracji niezmajoryzowanej przez cywilizację. W tym obszarze mieszczą się nie tylko poszukiwania formalne i językotwórcze; również treści, które w czasach pogłębiającej się dysproporcji między postępek cywilizacji a postępek kultury, są w stanie zapobiec ahumanizacji.

W związku z tym sprawa przenikania oryginalnych form artystycznych do nowoczesnych środków przekazu (radio, film, telewizja) i ich inspirowanie nabiera społecznego, a nawet humanitarnego znaczenia, bowiem jest to

najlepsza obrona przed schematyzacją i automatyzacją także umysłu i psychiki współczesnego człowieka.

Obawy, że literatura w przyszłości stanie się reliktem są o tyle słuszne, o ile słuszne są w ogóle jakiegokolwiek obawy o kulturę i sztukę w wieku robotów.

Jedno wydaje się nieuniknione, że pisarz coraz głębiej będzie odchodził w cienie „laboratoriów”, a dola jego będzie dola uczonego, a nie kosmonauty. Niewatpliwie takie perspektywy nie mogą większość pisarzy napawać entuzjazmem a nawet optymizmem. Jest to prawdopodobnie kwe stia temperamentu. Temperament zapewne sprawia, że wielu pisarzy nie zostało uczonymi. Na szczęście „laboratorium” pisarza, to życie, a większa część jego „materiału doświadczalnego” to człowiek. Na tym polega zasadnicza różnica między dziełem naukowym, a dziełem sztuki — artysta czerpie inspirację bezpośrednio z życia, a wiedza potwierdza swoje racje; naukowiec odwrotnie.

Niemniej jednak społeczne „błyszczenie” twórcy stale traci na swojej świetności na rzecz odwórców, którzy są bliżej publiczności, którzy na nią oddziałują bezpośrednio. Nie trzeba daleko szukać, wystarczy wspomnieć film pt. „Matka Joanna od Aniołów” i inne adaptacje także telewizyjne i radiowe. Tylko niewielu pamięta kto jest autorem sztuki, z czyjej ona inspiracji twórczej, kto jest autorem trafnej obserwacji, głębokiej myśli i wielu innych istotnych wartości widowska. Wizualna magia ekranu sprawia, że twórcy tych myśli jest najmniej po-

pularny. Słowa stała się niejako własnością tych, którzy je wypowiadają. W tych rejonach właśnie, w rejonach społecznej ekspozycji pisarz zaczyna smakować cierpiącą samotność uczonego.

Dzieło uczonego jest zwięzłym i rzeczowym zapisem przeprowadzonych badań, doświadczeń, eksperymentów, analiz i syntez z wybranej już uprzednio dziedziny nauki. Forma niczego tu nie inspirowa.

Dzieło pisarza jest wyborem z dziedziny życia (nie z nauki o życiu), która w danym okresie opanowała jego wyobraźnię, uczucia i myśli a dopiero w trakcie dokonywania zapisu (wzrusz „zapis” nie należy traktować zbyt do słownictwa) rodzi się kształt artystyczny dla doświadczeń, analiz i syntez. Zapis artystyczny nie jest sprawdzona teza naukowa i dlatego o jego wiarygodności decyduje forma.

Pragnąłbym, żeby słowo forma znaczyło w tym kontekście: kształt i struktura dzieła; żeby nie sugerowało słowa formalizm i sporu na temat: realizm czy formalizm. Forma nie tylko rozstrzyga o wiarygodności zapisu literackiego, ale ja również inspirowa. Typ wrażliwości, wyobraźni, temperamentu, wykształcenia, zainteresowania, a nawet obsesje, to między innymi składa się na osobowość.

Artysta ujawnia swoją osobowość i bardzo często objawia ją w sposób nieoczekiwany, nadając rzeczom i zdaniom, stanom i procesom strukturę i kształt czyli — jeżeli można postawić tu znak równania — formę artystyczną. Oczywiście wymogi w od-

niesieniu do tego, co nazywamy formą artystyczną zmieniają się; wówczas mówimy o pradach, stylach, konwencjach itp. Jeżeli przyjmujemy, że dzieło ma sprostac uznanemu, przejętemu czy odczuwanemu przez nas kryterium piękna, to musimy przyznać, że elementem decydującym o tym jest przede wszystkim forma.

Współczesna cywilizacja jest konsekwencją rozwoju nauk ścisłych i przyrodniczych. Nauki te nie tylko rozwijają się niewspódmiernie szybciej od nauk humanistycznych, lecz również wrastają w nie. Cybernetyka zaczęła się niewinnie od rozwiązywania problemów służących automatyzacji, obecnie wtargnęła ona w wiele nauk i dziedzin, które uważano za humanistyczne i jest tylko kwestią czasu, żeby zaczęła pretendować do miana filozofii.

Nie byłoby w tym nic złego, a wręcz odwrotnie, gdyby nie jedno ale. Cywilizacja bez odwołania w kulturze stanie się nieludzka, odczłowieczy człowiekiem.

Kultura to forma (nie formalizm), to kształt życia we wszystkich przejawach zewnętrznych i wewnętrznych, to bezinteresowne dążenie do piękna.

Dlatego sztuka, dlatego książki pisarzy nie stana się zwykłym i dlatego oryginalna twórczość drukowana ma wartość prototypu kulturowego, który może i powinien przenikać oraz kształtować w sposób nieoczekiwany, nadając rzeczom i zdaniom, stanom i procesom strukturę i kształt czyli — jeżeli można postawić tu znak równania — formę artystyczną. Oczywiście wymogi w od-

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Hartmut Lincke: Salvador Dalí wzygląda się zwińczy.

FILM NASZEGO STULECIA?

„Skromność nie jest moją właściwością” — oświadczył dziennikarzem Salvador Dalí, co nie zaskoczyło nikogo po nieważ malarz ten jest dobrze znany zarówno z wysokiego mniemania o sobie, jak i niezwykłej ekscentryczności tak w swoich dziełach jak i w swych obyczajach.

Salvador Dalí po krótkim pobycie w Paryżu, gdzie miał wykład dla studentów Politechniki na temat związku między wiedzą i sztuką, wyjechał do Nowego Jorku. W Hawrze, oczekując na statek urządził konferencję prasową, w czasie której mówił o filmie, którego tematem jest on sam. Reżyserem tego filmu jest Jean-Christophe Averty. Sam Salvador Dalí jest zachwycony zarówno tym czym dokonał reżyser jak i nim samym. Twierdzi że tylko Averty zdolny był wykonać takie dzie-

ło „film stulecia” — jak go Dalí nazwał. Averty zaś powiedział: „Zrobiłem ten film równocześnie z Salvadorem Dalí i wbrew niemu. Chodziło o dzieło wstrząsające, z rozmachem, o człowieku którego jednocześnie uważam za najbardziej cudownego i wstrętnego”.

Podobno Dalí odrzucił wszelkie projekty nakręcenia filmu o nim i jego obrazach. Dopiero teraz zgodził się na propozycję amerykańskiej telewizji, dla której film ten został zrealizowany. W trakcie konferencji prasowej Dalí powiedział m.in.: „Kiedy wydaję mi się, że wypowiadam sady ostateczne, nie zwykle genialne i filozoficzne spostrzegam po trzech dniach, że właściwie niczego nie powiedziałem. Natomiast kiedy wydaje mi się, że żartuję, przychodzi mi potem na myśl, że jestem genialny. Od trzydziestu lat pytam sam siebie czy jestem genialny czy też nie”.

WYSTAWA LIRYKI

Tytuł notacji może się wydać dziwny. Czy można wystawiać poematy? Okazuje się, że tak, jak tego dowiodła wystawa pt. „Montage Poétique” zorganizowana w Rendsburgu (Szle-

wik-Holsztyn). Inicjatorem tej ekspozycji jest Henri Oechslin, który chciał pokazać twórczość poetów, francuskich w ich najściślejszym powiązaniu z historią. Henri Oechslin przez wiele lat zbierał dokumenty do tematu „Francuska

twórczość poetyczna w latach 1895—1966”.

Wiele dzienników, czasopism, karykatur, fotografii, plakatów z ostatnich lat siedemdziesiąt lat zostało pokazanych na olbrzymich tablicach. Obok tych materiałów znalazły się wiersze i poematy, autografy, portrety namalowane, narysowane lub fotograficzne.

Ten bardzo bogaty materiał dokumentalny został zaprezentowany ściśle według porządku chronologicznego. Wystawa pokazuje nie tylko rozwój, przemiany poezji francuskiej od Valéry'ego poprzez dadiistów, surrealistów, aż po wybitnych poetów współczesnych jak René Char, ale można z niej równocześnie odczytać polityczne dzieje Francji w ostatnich siedmiu dziesięcioleciach.

KTO POMAGAŁ PISAĆ ALFONSOWI DAUDET?

Francuska telewizja nadała ostatnio adaptację powieści Daudeta, napisanej w 1886 roku i dedykowanej synowi Lucienowi. Powieść ma tytuł: „La Belle Nivernaise” (Piękna Nivernaise). Pariski dziennik „Le Figaro” przypomina z tej okazji, że właściwie autorami książki byli Daudet i jego żona, Julia. Zazwyczaj Alfons Daudet pisał swoje powieści w dużym szkolnym zeszyty tylko na prawej stronie. Lewa strona była przeznaczona dla poprawki, wyglądanie stylu, ewentualne zmiany tekstu, a to robiła już żona. Brulion wracał następnie do Alfonsa, który ostatecznie ustalał właściwą wersję.

Daudet ujrzał po raz pierwszy Julię w pewien grudniowy wieczór 1865 roku, gdy Théâtre Français (znany u nas pod nazwą Komedia Francuska) wystawił sztukę braci Goncourt pt. „Henriette Marchal”. Julia znajdowała się w łóżu, w której był jej rodzic i malarz Anatole de Beaulieu. Ona także zwróciła uwagę na Daudeta, gdyż wskazując go spytała siedzącego obok niej malarza: „Kim jest ten chłopiec z dziwaczną fryzurą i w tej przedziwnej kurtce z szarego aksamitu? A jednak jego spojrzenie jest niezapomniane... i to czło-”

29 stycznia 1867 roku odbył się ślub panny Julii Allard z Alfonsem Daudet, który później po wie o swej żonie, że stała się „oddanym, cichym współpracownikiem, jego ukochaną Julią”.

POEZJA I MÓZG ELEKTRONOWY

Gdy gra ciemność zastęga wieczór,
Złoto i piękno promieniają niekiedy,
Tańczę i myślę,
Często potrąca mnie trawa,
Dzwon rośnie ochryply i złoty,
Ścieżki i gońcy są mniej gwałtowni,
Kto całuje roślinę? — Poeta.

Wiersz ten nie jest dziełem człowieka. Jego autorem jest mózg elektronowy z ośrodka obliczeniowego w Darmstadt. Wiersz w oryginalnej (tlumaczeniowej) formie (tlumaczeniowy) nosi tytuł „Autopoeem nr 303” bowiem mózg stworzył wiele wierszy, które następnie ponumerowano. Utwór powstał na podstawie dostarczonego maszynnie materiału słownego obejmującego nazwy przedmiotów i pojęć z zakresu: natura i uczucia.

Cokolwiek powiedzielibyśmy o tym typie twórczości, a można się

tu odwołać do eksperymentów dadaistów i surrealistów, jedno już jest dziś pewne: nawet w wierszach których autorem jest mózg elektronowy znać piękno indywidualizmu. Ten element subiektywny bierze się po prostu stąd, że to jednak człowiek określa wybór jakiegoś dokonuje następnie maszyna, to człowiek podaje jej materiał słowny, którego zakres ogranicza możliwość ci twórcze mózgu elek-



Muza i Pegaz już niepotrzebni? Rys. L. Bardocz

tronowego. „Poeta” w tym przypadku jest niewidoczny, nie stanowi indywidualizowanej osoby, lecz daje o sobie znać poprzez struktury estetyczne dzieła. Nie dysponujemy jednak tak precyzyjnymi narzędziami badawczo-krytycznymi, abyśmy mogli te struktury określić z matematyczną ścisłością, podobnie jak nie możemy ich z taką ścisłością określić w innych dziedach ludzkiego umysłu.

SPACER NAD JODRANEM



„Louran — portik”.

Fot. J. Grygiel

Nad Jodranem znaczy nad Adriatykiem. Jodrańskie More to słowiańska nazwa Adriatyku, kapryśnego morza między półwyspami Bałkańskim i Apenińskim. Nad Jodranem leży górzysta, słoneczna Dalmacja, niegdyś, za czasów Dioklecjana prowincja Cesarstwa Rzymskiego, pełna wspaniałych zabytków architektury i sztuki. Dzięki urodzine swojego pejsza, środowiskomorskiej roślinności, łagodnemu klimatowi — istna Mekka dla turystów z całego świata, a ostatnio i dla turystów polskich. Stamtąd właśnie pochodzi zdjęcie, które Jerzy Grygiel pokazuje w salonie wystawowym Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego. Są to zdjęcia wykonane przez turystę, który miast zapisywać swoje wrażenia z podróży w notatki, zapisywał je na taśmie fotograficznej, który pióro zastąpił po prostu aparatem. I jak typowy turysta, Jerzy Grygiel niczego specjalnie nie szuka, za niczym nie gonit. Zadowolona go w pełni to, co spotyka na trasie swoich spacerów. A kiedy ten czy inny motyw wyda mu się interesujący, nowy, dostatecznie egzotyczny czy zachwyci go swoim pięknem — fotografuje go.

Powstała w ten sposób pełna słońca kronika z bestroskich, wakacyjnych wędrowek, bo Grygiel nie ma ambicji pokazania Jugosławii dzisiejszej czy wczorajszej pod jakimś określonym kątem. Nie dramatyzuje jej ani nie sili się na uogólnienia. Nie wyciąga wniosków ani nie sugeruje takiego czy innego wizerunku. Zestaw fotografii łączy nie wspólna, mocna nie problematyka, nie idea czy nowatorski zamysł formalny a tylko i wyłącznie temat bardzo szeroki — Dalmacja; nad Jodranem.

Poprawność i czystość techniczna, poprawność kompozycji, egzotyka tematów, bezpretensjonalne, bezpośrednie ujmowanie motywów sprawiają, że wystawę ogląda się z prawdziwą przyjemnością. Dla tych, którzy Jugosławii nie znają, będzie ona zachętą do zwiedzenia tego pięknego kraju. Ci, którzy już tam byli, na wystawie zobaczą znane sobie zakątki Dubrownika, Splitu, Trogiru, Zadaru, Lovranu. A. G.

POLONICA

KONKURS SIENKIEWICZOWSKI W CZECHOSŁOWACJI

Od kilku numerów wychodzący w Ostrawie „Głos Ludu” zamieszcza quiz dla młodzieży szkolnej pod nazwą „Co wiesz o Henryku Sienkiewiczu i jego twórczości”. Quiz ten ogłasza Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturowo-Oświatowego dla młodzieży do klasy 9 włącznie. Pytania dotyczą zarówno życia, jak przede wszystkim twórczości wielkiego polskiego pisarza i mają na celu rozbudzić zainteresowanie uczniów dla książki Sienkiewicza. Quiz cieszy się dużą popularnością wśród młodzieży polskiej w Czechosłowacji.

ROSJANIE O OBCHODACH SIENKIEWICZOWSKICH

Wydawany przez Zarząd Związku Pisarzy ZSRR tygodnik „Literaturnaja Rosija” zamieścił w swym 34 numerze dwie informacje dotyczące Polski. Jedną z nich nawiązując do uroczystości związanych z rocznicą Sienkiewicza i otwarciem muzeum w Obiegorku, gdzie pisarz spędził znaczną część swego życia, a drugą informacją odnosi się do przygotowywanego obecnie w Polsce do druku słownika — encyklopedii pisarzy rosyjskich, ukraińskich, białoruskich, litewskich, łotewskich i estońskich. Oprócz danych biograficznych, w słowniku znajdują się artykuły omawiające twórczość tych pisarzy oraz bibliografia. Tenże tygodnik wydrukował opowiadanie Janusza Osęki pt. „Pożar” w przekładzie E. Rogowa.

Z WYPowiedzi J. ANDRZEJEWSKIEGO

W dwutygodniku „Die Welt der Literatur” (z 10 listopada br.) w serii tzw. autowiadów znajduje się wypowiedź Jerzego Andrzejewskiego, który niedawno przebywał w NRF na zaproszenie swego monarchijskiego wydawcy. Oto jakie charakterystyczny pasus z wypowiedzi Jerzego Andrzejewskiego: „Nie potrafię nigdy — i nie potrafię również do tej pory — regularnie pracować. Mój pełen uwielbienia stosunek do Tomasza Manna, chociaż przeobojny cienka i delikatna ironia, mimo podziwu, jaki mam dla jego dzieł, wywodzi się z zazdrości dla jego dyscypliny pracy, która temu genialnemu człowiekowi niezmienne i wbrew wszelkim zewnętrznym i wewnętrznym przeciwnościom służyła w sposób wierny i niezawodny przez całe życie. Co do mnie, jestem z całkiem innej filii. Wydaje mi się, że pod wieloma względami — a jakże mogłoby być inaczej? — jestem typowym produktem polskim, a więc człowiekiem, który raczej zniechęca do wielkiego kalibru, niż mnie dostatkami i przykrością codziennego życia. Mój żona nie twierdzi, że w swoim czasie znacznie lepiej znosiłem naloty bombowe i stan osobistego zagrożenia, niż był na biurku albo za pachy kuchenne, wdzierające się do pokoju”.

POLONICA

Na pięć przed dwunastą

2 grudnia br. na ekrany kin w całym kraju wszedł nowy polski film fabularny pt. „Zejszcie do piekła”, zrealizowany przez reżysera Zbigniewa Kuźmińskiego. Na krótko przed premierą przedstawiciel „Odgłosy” spotkał się z realizatorem tej najnowszej pozycji naszej kinematografii.



Reż. Z. Kuźmiński (uprzedzając pytanie): Zle się czuję przed premierą. Klimat jaki prasa stwarza ostatnio wokół polskich filmów jest wielce niekorzystny. Przyznam się, że często trudno zrozumieć te wszystkie gazety i alamy. Zapewne, wśród 25 pozycji produkowanych co roku przez naszą kinematografię są tytuły, które nie spełniły oczekiwań. Ale to jeszcze nie dowód, że film polski upada.

„Odgłosy”: Jaka jest więc osobista opinia pańska na ten temat?

Reż. Z. Kuźmiński: Wiem, że niektóre głosy krytyczne podyktowane są rzetelną troską o stan naszej twórczości filmowej, ale niestety pewna część wypowiedzi jest niezwykle szkodliwym patrzyeniem się na zagranicę mody filmowej i zupełnie niepotrzebną historią. Nikt chyba nie przypuszcza, aby jakkolwiek sztuka można było uprawiać w atmosferze niechęci, którą często można odczytać ze szpalt gazet. Jest fakt, że aktualnie pozycja naszego filmu w świecie jest może nie taka, jakiej byśmy sobie wszyscy życzyli, ale daleko do kryzysu. W bieżącym roku polski film fabularny zdobył szereg nagród i wyróżnień międzynarodowych. Proszę, oto co zdolałem zapamiętać: „Sublokator” Majewskiego, „Wystrzał” Antezaka, „Niekochana”, „Nasfetera”, „O dwóch takich co ukradli księżyc” Batorego, „Barieta” Skolimowskiego. Zamiast więc czegoś biadolenia i darcia szat nad upadkiem filmu fabularnego, byłoby znacznie rozsądniej, gdyby zainteresowani krytycy porozmawiali z nami

w tonacji rzeczowej, spokojnej, co i jak zrobić, aby było lepiej, bo na pewno stać nas na więcej.

„Odgłosy”: Nie jestem krytykiem, mam więc prawo pozostać poza tym sporem. Proszę jednak powiedzieć, jakie są bezpośrednie przyczyny pana niepokojów w związku z premierą?

Reż. Z. Kuźmiński: Podjąłem nie poruszony w zasadzie w filmie polskim temat, choć pozornie stary. Niebezpieczeństwo odradzania się, czy może raczej trwania nazizmu. My znamy faszyzm od strony okrutnych ofiar, jakie nasz naród poniósł w ostatniej wojnie. W „Zejszcie do piekła” mordery ludzkości zostają podani starannej wiwisekcji bez przeciwwstawiania katom ich ofiar. W moim filmie występują tylko Niemcy, polscy aktorzy kreują wyłącznie rolę Niemców. Są to ludobójcy pielęgnujący w sobie w dalszym ciągu hitlerowskie ideały, z którymi musieli skryć się w południowoamerykańskiej dżungli.

„Odgłosy”: Brzmiałoby bardzo interesująco, choć przyznam się, że dobrane jeszcze nie rozumiem pańskich niepokojów.

Reż. Z. Kuźmiński: Film podejmuje temat w takiej formie, za pośrednictwem tak opowiedzianego zdarzenia, że ma prawo wprowadzić mnie w stan większego niż zazwyczaj niepokojów. Czy to, co przedstawiam na ekranie będzie tak autentyczne i sugestywne, że przekona widza? Rolę odgrywającego esesmana kreuje na przykład ulubienie łódzkiej publiczności, dosko-

nął aktor Teatru im. Jaracza, Jerzy Przybylski. W „Zejszcie do piekła” występuje też Ewa Krzyżewska, i nie mniej popularna Ewa Krasnobolska, a także Piotr Pawłowski, Marek Perepeczek, Witold Pyrkosz i Leon Niemczyk. Są to na pewno świetni aktorzy, ale myliłbyś ten, kto by sądził, że praca nad rolami przysła im łatwo. My, Polacy, czujemy większą jeszcze może niż inne narody odragę do ludobójstwa i aktorom trudno było przełamać psychiczny opór. Czy teraz pan rozumie?

„Odgłosy”: Sądzę, że tak. Ale czy wobec tego film zabrzmi autentycznie? Albo jeszcze inaczej: jak dalece temat „Zejszcie do piekła” jest autentyczny?

Reż. Z. Kuźmiński: Duże wrażenie wywarła na mnie przeczytana w prasie wiadomość o wykryciu w dzungli tajnego obozu koncentracyjnego zorganizowanego przez faszystów. To było w Chile. Około młodych za informacją dziennikarską, a założeniami fabularnymi filmu istnieje zbieżność tematyczna i to podnosi niewątpliwie walory filmu pod względem autentyczności tematu. Aby zastrzyczyć jeszcze to wrażenie wprowadziłem do obrazu dwujęzyczne dialogi. Zdradzę, jako ciekawostkę, że Niemcy mówią w filmie po polsku, południowi Amerykanie po hiszpańsku, dzięki zaangażowaniu całej plejady aktorów kuzańskich. Sam film kręcony był zresztą na Kubie. A teraz uzupełniając te ciekawostki: po polsku mówią w filmie także dwaj aktorzy niemieccy



Z NRD — Hans Minetti i Werner Dießel, za sprawą dubbingu. Sensacyjna akcja dopomoże, jak sądzę, do zbudowania dostatecznie sugestywnego nastroju.

„Odgłosy”: Jest to więc film sensacyjny. Pozwól pan zapytać, jakie są propozycje pomiędzy wcaszajacją akcją, a aktualnymi podtekstami politycznymi, które zapewne silnie porażą współczesnych pogrobowców Hitlera żyjących nie tylko w dżunglach?

Reż. Z. Kuźmiński: Proszę przekonać się samemu na premierze.

Rozmawiał: KONRAD FREDLICH

MARIA KORNATOWSKA

X muza W RIO

Początek lat 60-tych stanowi niewątpliwie złoty wiek w dziejach powojennej kinematografii...

Brazylia była właściwie do tej białej plamy na filmowej mapie. Poziom sztuki filmowej nie dorównywał nigdy bujnemu rozkwitowi literatury i sztuk plastycznych...

W epoce kina niemeego, w Brazylii, zauważyć można wyraźną, może nieco naiwną, ale szczerą tendencję szukania tematów i treści o charakterze narodowym...

W Rio de Janeiro powstał nawet specjalnie brazylijski gatunek filmowy tzw. „komedie karnawałowe”...

tunek ten przetrwał do dnia dzisiejszego cieszy się dużą popularnością, aczkolwiek nie wydał dzieł o większej wartości artystycznej...

Rodzima twórczość filmowa rozwijała się bez żadnej opieki i pomocy ze strony państwa. Dopiero w roku 1948 weszła w życie ustawa zobowiązująca właścicieli kin do obowiązkowego wyświetlania przynajmniej jednego filmu brazylijskiego rocznie...

Po drugiej wojnie światowej Brazylię ogarnia fala przemian politycznych i kulturalnych. Przywrócone zostają rządy demokratyczne. Działalność parlamentarna zostaje ogólnie ożywiona i entuzjazmu...

W roku 1953 powstaje szczytowe dzieło owego „złotego” okresu znany także i w Polsce „O Cangaceiro”, Lima Barreto. Tym filmem Brazylię podbiła krytyka i publiczność Europy...

Produkcja filmowa przybiera charakter komercyjny. Realizuje się od 25 do 30 filmów rocznie, ale żaden z nich nie wykracza poza ramy rzemieślniczej miernoty...



Z cyklu: „Noc”.

Ich poszukiwania zmierzają do odnalezienia narodowego charakteru filmu brazylijskiego, nowych rozwiązań treściowych i formalnych...

Tym samym, w oczach publiczności, podniósł się znacznie autorytet sztuki filmowej. Współpraca z ludźmi pióra, palety i sceny okazała się zresztą bardzo płodna artystycznie...

Do najwybitniejszych postaci „pokolenia 60” należą bez wątpienia Glauber Rocha, twórca „Wielkiej zapory” (Barraento, 1962) oraz „Boga

dyabła na słonecznej ziemi” (O Deus e o Diabo na terra do S d. 1962) oraz Pereira dos Santos, autora „Rio, 40 stopni” i „Ciszy” — szczytowo go osiągnięcia nowego kina brazylijskiego...

Mimo ograniczeń i trudności, młodzi filmowcy brazylijscy nie poddają się. Próbują tworzyć dalej, broniąc siłowności swych przekonań ideowych i artystycznych...

KRONIKA

Antytelewizyjna

„DOM KOBIEC”

Dramat Zofii Nałkowskiej „Dom kobiet”, pierwsza sztuka teatralna znakomitej powieściopisarki, ukazał się na scenie w 1930 roku...

Należy tedy zapamiętać wyjątkowo chyba spotkanie aktorek. Gwiazdopodobnie przepięknie „zafiszta”. Seweryna Bronisława, Ryszarda Hanin, Jadwiga Chojnacka, Ewa Krasnodębska, Barbara Ludwińska, Barbara Rachwałska, Aleksandra Słaska i „rokujeć piękne nadzieje”...

Znowu piszę do „Zamku”. Państwo przecież pamiętają „Zamek” w realizacji telewizyjnej. Chodzi mi o zastępcę dla propagowania dobrej poezji „Studio 63”...

Chciałbym się też posprzezać na temat doboru wierszy Leśmiana. (Z kim? Ba...) Taka sprzeczka to raczej demonstracja własnych gustów i upodobań. Dla Juliana Przybosa na

przykład Lechoń, to poeta „szalejący papierem”, a dla wielu z nas to wybitny twórca, wyrażający różne bliskie nam sprawy...

Drugą kwestią, której poruszenie nie zmieściło się w poprzednim felietonie, to „Wieczór przy kominku”...

Oczywiście, ten wieczór to nie poważnie traktowane remedium na bólaki, których żrącej strukturze naszego handlu...

Kazimierz Rudzki wykorzystał wszystkie okazy, wywołane z wybranymi przez siebie fragmentami „Lalki”...

W dniu 12 grudnia wzięli udział w konferencji Rady Naukowej Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej...

Ocena wszystkich form pracy pozwoliła też na rysowanie realnych perspektyw dalszego rozwoju akcji podjętych przez TWP...

KSIAZKI

NADESŁANE

Konstanty Paustowski — WP, cena zł 17. Jan Huszcza — ZARTY, SA-WL.

TYRY, FRASZKI — WL, cena zł 15. Barbara Grochulska — KSIĘSTWO WARSZAWSKIE — WP, cena zł 19.

Krystyna Nepomucka — OBRACZKA ZE SŁOMY — WL.

T. WOJ.

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

W Filharmonii Łódzkiej odbył się już drugi koncert z cyklu tych, których celem jest jasny i prosty, a nazwa widocznie trudna do sprzecywanienia...

PONIEDZIALEK

Mówi się, że w Łodzi panuje niska temperatura lokalnego patriotyzmu. Dla jej podniesienia siedem lat temu powołano do życia Towarzystwo Przyjaciół Łodzi...

WTOREK

Zakończyła się dwudniowa sesja naukowa pn. „Wkład Ziemi Łódzkiej w rozwój Państwa Polskiego”...

ŚRODA

Kultura teatralna ma na terenie województwa rzecz nika w postaci Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich...

CZWARTEK

W dniu 12 grudnia wzięli udział w konferencji Rady Naukowej Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej...

PIĄTEK

W dniach 25 i 26 listopada obradowała w Zgierzach sesja naukowa zorganizowana przez Komitet Miejski PZPR, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zgierzach...

SOBOTA Natomiast Łódzka Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych

TPE wiele działało, co zostało z okazji jubileuszu uhonorowane Złotą Odznaką Tysiąclecia oraz dyplomem Ogólnopolskiego Komitetu FJN...

W dniu 12 grudnia wzięli udział w konferencji Rady Naukowej Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej...

Ocena wszystkich form pracy pozwoliła też na rysowanie realnych perspektyw dalszego rozwoju akcji podjętych przez TWP...

Chciałbym się też posprzezać na temat doboru wierszy Leśmiana. (Z kim? Ba...) Taka sprzeczka to raczej demonstracja własnych gustów i upodobań...

Kazimierz Rudzki wykorzystał wszystkie okazy, wywołane z wybranymi przez siebie fragmentami „Lalki”...

W dniu 12 grudnia wzięli udział w konferencji Rady Naukowej Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej...

ULICA SŁONECZNA, SŁONECZNA ULICA...

Dwie siostry, rok różnicy, teraz już właściwie dorosłe pannie. Siedemnaście lat, szesnaście lat. Wysokie, masywne, wulgarnie. Wulgarnie ubrane, wulgarnie stapiowane. Takie, co spojrzysz, a już widzisz, co za jedna. Na odległość.

Nawet ich wiek — gdyby nie metryki, trudno określić, trudno uwierzyć, że jeszcze tak bardzo młode, wiośniąco młode: siedemnaście lat, szesnaście lat. W języku prawniczym — jeszcze nieletnie. U takich jednak lata inaczej się liczą, podwójnie. Takie szybko żyją. Człowiek — tak twierdzą, i to brzmi dumnie — jest sam kowalem swojego losu. Lub — tak też twierdzą — jak sobie poślesz, tak się wypiszesz. To o co sprawa?

Podfarbowane na rudą (nad manganianem potasu, w ap-tece nazywa się to kalihyper... i tak dalej, lub proszki: kali, jest tanie, za parę groszy może na osiągnąć rudy efekt, modny kolor), czarne krechy zwarzonego tuszu „Miraculum” na powiekach. Pod tym względem bliźniaczo podobne, pod innym nie. Nie zresztą dziwnego, każda miała innego ojca, a żadna nie wie, kto był jej ojcem.

Powiedzmy, że nazywają się Krystyna i Barbara. To ładne imiona, niech chociaż ma ją, chociaż tyle — te ładne imiona. Krystyna, lat siedemnaście, Barbara, lat szesnaście. Takie sobie dwie z ulicy Słonecznej numer osiem.

Przy ulicy Słonecznej numer osiem mieszkała od urodzenia. To nie jest brzydka ulica. Jest naprawdę słoneczna, a kiedy kwitną kasztany — pachnąca. Domy przy Słonecznej ładne, z szarymi oknami, wpuszczają dużo słońca do mieszkań, gaz i bieżąca woda, metraż nie-typowy, duży, żaden standard żaden typ M-2 czy M-3. Tylko jeszcze kocł bruk jezdną psuje markę Słonecznej. Koci bruk i te dwie.

— Jak kociąta piszczały. Takie głodne. Ona, od małości je zamykała, cały dzień latając, wiadomo gdzie, za chłopami. Włóczyła się zawsze, odkąd ją znałam, odkąd tu zamieszkała. Nocą też nie zawsze w domu była. Lepiej by było, żeby umarły. A przecież, na zdrowy rozum, powinny być. Zamknięte na klucz, prawie bez światła, prawie bez jedzenia. Ale takie to zawsze się uchowały.

To dozorczyni. Pocziwa ko bięcinka. Trzęsie głową na znak, że im, tym dwoim, nie teraz oczywiście, lecz wtedy, gdy były małe „pisczaczki” — wsołczyła. Żałuje. Lituje się. Szkoda, że nie umarły.

W suferenie mieszkają do tej pory. Suterena w niczym nie przypomina prawie że luksusowych mieszkań z ulicy Słonecznej. I słońce do niej nie zagląda, ani zapach kasztanów. W której zresztą suterena bywała słońce? To suterena typowa: ciemna, ciasna i wilgotna.

— A że tam światło mało co dochodzi, to głowy miały, jak balony, nogi krzywe, pałkowate — i brzuchy, a brzuchy to już pewno od głodu — brzuszyska wielkie jakby ciężarne. Do dwóch lat nie chodziły, jak ona czasem zostawiła drzwi otwarte, to wypelzały na schody, takie dwie blade jaszczurki, popiskujące zaśnioną, całe w ropie nia i wrzodach, aż strach dotknąć, bo może jaka zaraza?

Wciąż dozorczyni. Rozgadała się. Lubi sobie pogadać, zwłaszcza o kimś. A te dwie, to dobry temat.

— To mi kazali je odganiać. Każdy się bał, żeby ich dziecko czymś się nie zaraziło brzydkim. A pani inżynierowa z pierwszego piętra raz mała nie zemdlala, bo ją za sukienkę chwyciły.

Pani inżynierowa omal nie zemdlala. Prawda. Cuchnęły — opowiada pani inżynierowa — na odległość moczem i brudem i innymi nieczystościami. A w ogóle był to widok tak nieestetyczny.

Dwie małe, owróżdzone, śmierzące dziewczynki, wypelzyły na schody, szukając trochę światła, powietrza. Pani inżynierowa wzięła kwiecistą sukienkę, one jeszcze nie widziały kwiatów, może dlatego osmieliły się sięgnąć do sukienki pani inżynierowej? „Musiałam tę sukienkę natychmiast oddać do pralni; — relacjonuje pani inżynierowa, głęboko przeżyła fakt dotknięcia — przecież mogłam się czymś od nich zarazić”.

— Kazali odganiać, to odganiałam. Miotta, a sio! Zaw sze żal, bo to dzieci, chociaż wtedy to one małe do dzie ci były podobne. I nie mów-ły długo. Głupie. Tak tylko memlały.

A na nią to nie było skarania. Nic sobie z tych dzie ci swoich nie robiła. Jeszcze wtedy nawet była niebrzydka. Jak się wymalowała, to całkiem — całkiem. No i młoda. Różni tam do niej prechodzili, na jedną noc, na dwie, na tydzień. Ale żaden długo miejsca nie zagrażał, wszystko przez te dzieci. W końcu lokatorzy dali na milicję znać, że tu taka mieszka, ale jeszcze wtedy awantur nie urządziła, to do czego mi licja?

Krystyna, ta starsza, nie umiała mówić do lat sześciu. Zresztą, wyraźnie debilna i teraz, choć mówi głośno i dużo. Młodsza poradziła sobie szybciej z umiętnością, porozumiewania się; skończyła nawet trzy klasy szkoły podstawowej, gazetę czyta. Nie zawsze, ale czasami czyta. „Co ciekawsze kawałki w ekspresjaku”.

Nie chodziły do szkoły z różnych przyczyn. Bo debi-

ne, to raz. A poza tym — nie miały ubrania. Te szmaty, które nosiły, nie zasługiwały nawet na nazwę „ubranie”. Te kaptcie związane sznurkami nie były nawet podobne do butów.

— Ja byłam ważniejsza, musiałam mieć co na grzbiet włożyć, żeby swoje zaraobić. Jakbym nie zarobiła, to co by do gęby włożyły? — powiada matka.

Gdy zaczęła nalogowo pić, pijana od rana do wieczora, od wieczora do rana, gdy zaczęły się awantury — sąsiedzi nagle zaczęli zwracać uwagę na lokatorkę z sutereny. Poszło podanie o eksmisję niewygodnej rodziny. Było w tym podaniu napisane wszystko, co trzeba, bardzo dokładnie: że obywatelka, Maria Z. prowadzi się niemoralnie, że jest nalogową alkoholizką, że żyje z uprawiania nierządu, że zakłóca spokój publiczny, dobro społeczne. Długa litania zreczeń i gładko sformułowanych zarzutów. Tylko jakoś w tym podaniu o jednym zapomniano. Zapomniano choćby wspomnieć, że obywała matka Maria Z. jest matką dwojga dzieci, którym nigdy nie chciała zapewnić elementarnej egzystencji. Nie wspomniano o debilnych twarzach, brzuchach rozdętych, głodnych ustach dziewczynek. Nie wspomniano o niczym. Nawet o tym nieestetycznym wyglądzie, który tak poraził zaczął panią inżynierową. Chodziło przede-cie o dobro ważniejsze: o publiczny spokój, o społeczne dobro — tak przynajmniej brzmiała główna motywacja.

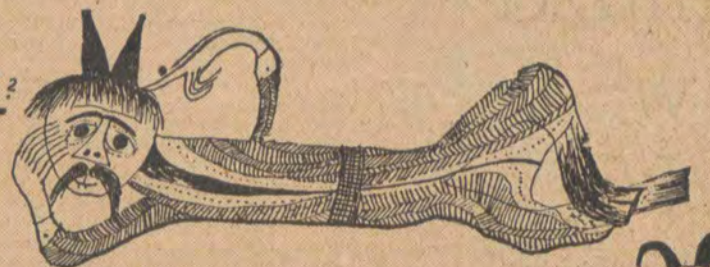
Ciekawe, że w pojęciu społecznego dobra i publicznego spokoju nie zmieściły się te dwie, jeszcze wtedy małe dziewczynki. Obdarły i zagłodzone. Ciekawe, że widocznie publiczny spokój kamieniczki z ulicy Słonecznej miał ja kieś swoje własne kryteria społecznego dobra. W każdym razie publiczny spokój uzyskał pewnego rodzaju zadostatecznienie: obywatelka Maria Z. stanęła przed sądem za jego zakłócenie, otrzymała karę grzywny i... dalej dwie małe dziewczynki wystawiały blade pyszczki do okienka, choć widok z niego nie był wcale piękny, zamalst nieba — kamienicy chodnik, nogi ludzi maszerujące w różnych kierunkach.

Później te dwie z sutereny zaczęły się usamodzielniać. Każdy nowy dzień przynosił im nowe doświadczenia. Zrobiły się chytre, cwane i przebiegłe. Nawet debilna Krystyna pojechała szybko śmietnikowe edukacje. W zaułkach ciemnych ulic można je było spotkać, w zakamarkach bram i piwnic. Radziły sobie doskonale puszczono na ulice, ich matka zaczęła je wypuszczać, lub raczej: przestała zamykać, uznając widocznie, że sa zbyt duże, aby krepować im swobodę.

— A co, musiały kiedyś same zacząć — powiada matka i wybuchła grubym, chropawym śmiechem, śmie-

ZASŁYSZANE HISTORIE STAREJ i NOWEJ ŁODZI

JAK TU
ZREALIZOWAĆ?



- 1) KIEBASĘ BEZ SKÓRKI.
- 2) AUTOMATYCZNE KALEGONY (KTÓRE SAMOCZYNNIE STAJĄ SIĘ GRUBE I DŁUGIE NA ZIMĘ, CIENNE I KRÓTKIE NA LĄTO)
- 3) ANIOŁY-NACZYNIÓŁY / KTÓRĄ RZUCA SIĘ W GÓRĘ BRUDNE GARNKI I TALERZE. A ONE PO PEWNEJ CHWILI PUSZCZĄŁY CZYSTE NA WYCIĄGNIĘTE RĘCE)
- 4) MOTOCYKLE I AUTA, KTÓRE SAME JAK PIESI OTRZEPUJĄ SIĘ Z KURZU I BŁOTA
- 5) KONKURSY BEZ JURORÓW
- 6) a: DRZWIOMYJE (DO KĄPIELI CIAŁA)
b: DRZWIOMYJKI (DO MNIEJSZYCH DETALI, JAK TWARZ, SZYJA, USZY, PŁONIE STOPY I.T.D)

diabły przez drzwiaskanie.

BORUTA kosztuje zubardziówkę

O Borucie nic złego powiedzieć nie możemy, poza tym jednym przypadkiem, ale jak wiadomo z wódki zawsze ze skutki, tak było i onego czasu, a że wypadki chodzą po ludziach, co dopiero mówić gdy ulapią się konduktusza szlacheckiego! Karmazyn jęczył był diabłem spokojnym, takim sobie świeżycyła kielszkowym lubił zaglądać do niejednej gospody ludowej...

Przepadł podobno za gdańskim goldwasem, jednak tylko do czasu, gdy zwiedził się, a kumotrów miał w każdym miasteczku, w każdym szynku, że w Łodzi — na Starym Rynku są aż cztery karczmy (to tam gdzie dziś królują jednokoliste arkady!) Na każdym rogu rynku jedna! Mieszczanie z prawa promiacji korzystali nader gorliwie, a zubardziówkę, którą tu wówczas pędzili — znano w całej okolicy. Postanowił więc jej skosztować, a że był to diabeł towarzyski — umówił się z drugim takim jak on zaprzadancem piekiel. przezwiskiem Rokita.

Je się zupełnie tak jak jej córki.

Radziły sobie jak mogły i jak umiały. Wygrzebywały butelki, zbierały papiery. Potem kradły. Co wpadło w rękę. Kursowały w ulicznych tłumach, w tramwajach, autobusach, nabierały wprawy, zysk szedł do wspólnej kasy. Kupowały sobie najpierw prymitywne: bułki za pięćdziesiąt groszy, kaszankę, lemoniadę w proszku, ciastka z kremem, landryny. „Ciastka z takim różowym kremem, językiem wylizywały się ze środka krem jak lody — wspomina Barbara, ona ma jednak lepszą pamięć, wiele pamięta z dni swego dzieciństwa — i landryny. Czerwone, niebieskie, zielone, białe. Białe najlepiej lubiłam. Migdałowe”.

Raz się zdarzyło w portmonecie pięć stów. — Ale matka je nam zabrała, — powiada Barbara — pokazałyśmy jej, frajerki.

Wpadły raz. Trafiły jednak na litosiwa panią, darowała im, bo bardzo płakały. Ukradły jej zresztą niewiele: dziesięć złotych z kieszeni.

Potem do ich matki wprowadził się jeden — frajer — powiada Barbara. Wprowadził się i został, na dobre. — A bo gdzie miał iść, z powrotem do mamra? Bo on z mamra wyszedł — wyjaśnia Barbara.

Kamienica po raz drugi założyła ostry protest. Punktów dużo, dużo dowodów, na to, żeby zagrażająca publicz-nemu spokojowi i ślejąca powszechne zgorzenie rodzinę

z sutereny wyeksmitować. W tym drugim podaniu była już mowa o dzieciach. Jako o moralnie zaniedbanych. Dostrzeżono je wreszcie. Da, trudno już je wteady było nie zauważyć, już miały głosy chropawe i przepite jak matka, wyrosły też spore, duże dziewczynki, usta już malowały i włosy, tym kali z apteki.

Dostrzeżono je, wyrażono się o nich w podaniu nawet współczująco: bez opieki, w demoralizującym otoczeniu i towarzystwie, najwyższy czas, aby się ktoś nimi zainteresował. I motywacja: są jeszcze przecież nieletnie. Chyba jeszcze da się je wyrwać ze szponów demoralizacji. Lecz już się nie dało.

EWA OSTROWSKA



Lewym
okiem

CZASEM WYSTARCZY POMYŚLEĆ!

Przetrzymywanie w sklepie towarów dla znawczych, sprzedawanie spod ludy — jest jak wiadomo kategorię zabronioną przez prawo, a już jak najsurowiej oceniane przez opinię publiczną, czy ściślej: przez tych przedstawicieli opinii publicznej, którzy akurat w danym przypadku nie są znajomymi personelu sklepowego.

Ale istnieje jeden wyjątek, usankcjonowany zarówno przez prawo, jak i przez zwyczaj: pisma. Mam swój znajomy kiosk „Ruchu”, mam w nim jako stały klient teczkę i w tej tece zawsze znajdują się pisma, o które proszę. Szkoda, że nie ma takich teczek w jatce, w piekarni i w sklepie z pończoszkami. Zaobowiązałyby się ćwierć wtródkki co wtorek, nóżki w piątek, szyneczki w niedzielę, rajstopki bez szwu dla żony raz na kwartał — coś za wygodę! Bez przymyślenia, z podnieconym czołem, bez męki wyścukiwania na dobry humor sprzedawczyni i na szczęśliwy moment.

— Ale nie o tym miało być. Przychodzę do kiosku, mówię nazwisko, sympatyczna pani wyciąga spod ludy stertę postrzępionych teczek i zaczyna się gorączkowo szukać. Kolejka za mną rośnie, ludzie klną i mają rację, ale dlaczego na mnie? Tezka zawsze gdzieś się zapodzieje, jej znalezienie trwa ładnych parę minut. Gdybym się nie bał, że się sympatyczna pani obrazi, poradziłbym: niechże pani ponumeruje te tecki i nada swym klientom numerki. Niech pani kładzie teckę numer sześć pod tecką numer pięć i tak dalej. Słowo daję: że znalezienie tecki natychmiast przestanie być jakimkolwiek problemem!

Mówi się dużo — nareszcie — o organizacji pracy; przykłady z tej organizacji widać na każdym kroku — właśnie na tych elementarnych odcinkach, malutkich, najmniejszych, a na co dzień przecież najważniejszych. Ludzie nie dbają o najbardziej własną wygodę, nie poświęcają chwili uwagi organizacji swego osobistego miejsca pracy.

W pewnym barze w Warszawie dają przy wejściu druczek, na którym później kelner wpisuje zjedzone dania, sumuje, mnoży, kreśli, myli się i oddaje konsumentowi. Ten — wychodząc — podaje wypełniony druczek kasjerce, obok której musi przejść wąską ścieżką między barierkami. Kasjerka czyta zygżaki kelnera, myli się, mnoży, dodaje i inkasuje.

W innym barze odwrotnie: zamawia się wszystko przy wejściu, u kasjerki, która sama wypisuje druczek, dodaje, mnoży, myli się, inkasuje i wypuszcza do środka. Tam kelner odczytuje zygżaki kasjerki, myli się, skrobie za uchem i przynosi dania, trochę inne, bo właśnie tamtych zabrał.

A można dużo prościej, na przykład tak jak

w Czechosłowacji: konsument przy wejściu dostaje druczek z wydrukowanym szeregiem różnych cyfr; każdy kelner i sprzedawca wewnątrz ma zwykły konduktorski dziurkacz i w zależności od tego, za ile konsument kupił lub zjadł, dziurkuje jednym przytknięciem odpowiednią cyfrę. Przy wyjściu kasjerka wrzuca druczek w maszynę, która jednocześnie oblicza, księguje i pamięta. Idzie to błyskawicznie. Ale i bez tej maszyny kasjerka z otrzymanego druczku na jeden rzut oka wie, ile ma inkasować, a nie interesuje ją przecież, czy gość jadł parówki z chrzanem, czy tort z wanilią.

Tak więc wszyscy piszą a piszą, zamiast po prostu robić swoje. Łódzki NOT obliczył — nie wiem w jaki sposób — że nasi inżynierowie niepełne trzy godziny dziennie wyłączają to, czego się od nich naprawdę jako od inżynierów oczekiwano, a poza tym — piszą. Piszą, jak Hermenegilda Kociubińska. Jak już jakiś zakład odważy się na usprawnienie, na poszep, na automatyzację — to pech chce, że może to wypaść jak w tej fabryce przetworów owocowych w Łowiczu: mają automat do zamykania butelek, ale butelki wykazują odchylenia od znormalizowanych wymiarów i złośliwie w automacie pękają. Więc sadza się rząd babek, żeby mierzyły każdą butelkę przed jej podsunięciem pod automat. Podobno szybciej by szło zamykanie ręczne butelek, niż ich wymierzenie...

Wracając jednak do „Ruchu” — proponuję, żeby ktoś z jego pracowników zgłosił pomysł z numerowaniem teczek jako uniwersalnego racjonalizatorskiego. Pomysłu i tak się nie realizuje, ale uniwersalność zarobi parę groszy. Polecam się pamięci!

CWIEK